Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

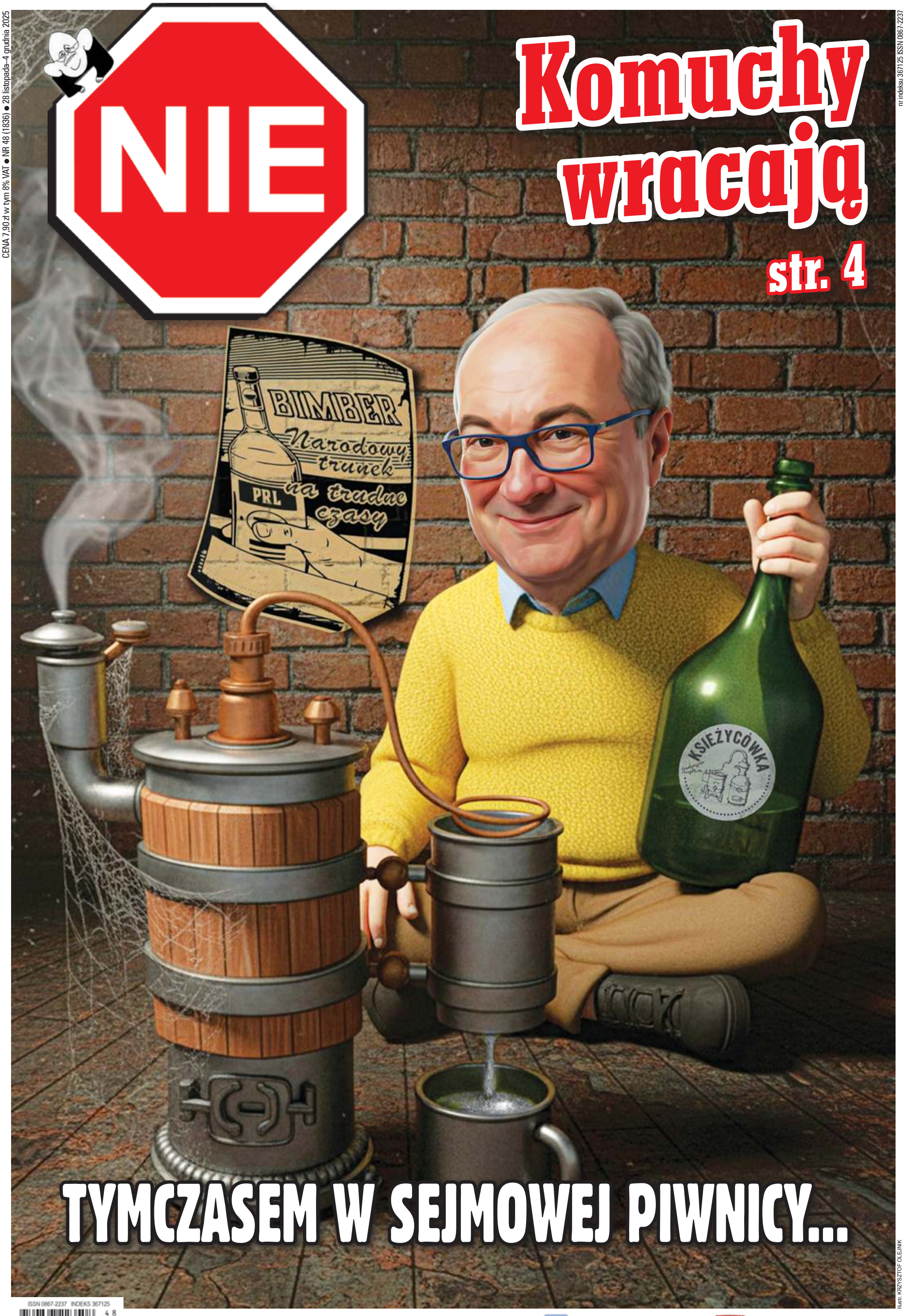
CENA 7,90 zł w tym 8% VAT ● NR 48 (1836) ● 28 listopada–4 grudnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Komuchy wracają

str. 4



TYMCZASEM W SEJMOWEJ PIWNICY...

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl a1d53bfa81

WOJNA DOMOWA

Premier Tusk ogłosił w sejmie pięć przykazań prawdziwego Polaka. Na przykład: „Nie powtarzaj kłamstw rosyjskiej propagandy”. Czasem trudno zgadnąć, co jest rosyjską propagandą, a co nie, więc lepiej nie powtarzać nic, czego nie mówi rząd. „Nie podważaj zaufania do polskiego wojska i polskich służb” – bo w końcu są sprawy ważne i ważniejsze, a przybłędy wypychane na Białoruś i zdychające z głodu po lasach na pewno nie należą do tych drugich. Potem było coś o „sabotażu legislacyjnym”, oraz „niepodważaniu jedności europejskiej” – ale najbardziej spodobało nam się ostatnie: „stój po stronie Ukrainy w jej wojnie z Rosją bez żadnego »ale«”. To zawsze dobry znak dla demokracji i pluralizmu, kiedy rząd każe popierać swoją linię „bez żadnego ale”. A na końcu usłyszeliśmy: „W kwestii narodowego bezpieczeństwa wobec rosyjskiego zagrożenia albo będziemy zjednoczeni, albo nie będzie nas wcale”. Nie chcemy, żeby zabrzmiało to jako jakieś „ale” – ale dlaczego? Co się w zasadzie stanie, jak kaczyści i tuskiści nadal będą się napierdalać – tak jak czynią to co najmniej od dwóch dekad? Przyjdzie leśniczy i wygoni wszystkich z lasu?

Na pięć przykazań premiera odpowiedział prezydent. Ale nie własną piątką, tylko zapożyczoną: „Pięć Prawd Polaków”, autorstwa polskiego ziomkostwa w Niemczech z 1938 r. Stworzyło ono następującą listę zaleceń: „1: Jesteśmy Polakami. 2: Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci. 3: Polak Polakowi bratem. 4: Co dzień Polak Narodowi służy. 5: Polska matką naszą – nie można o matce mówić źle”. Nawiasem mówiąc, hitlerowskie Niemcy roku 1938 nie były raczej krajem dla polskich patriotów – może trzeba było wracać do ojczyzny? Ale tak naprawdę interesujące są dwa punkty tej deklaracji – jakże bliskie Karolowi Nawrockiemu i jego środowisku. Ten o wierze ojców, którą należy narzucać dzieciom – i ten o hipokryzji, zabraniającej krytykowania półfaszystowskiego, opartego na wyzysku, niesprawiedliwości społecznej i absurdalnym systemie klasowym bankrutującego państewka, jakim była II RP. Są powody do dumy.

À propos dumy: wicepremier i minister obrony narodowej wystąpił na konferencji prasowej z dumą trzecioklasisty, który dostał nowy rower na komunię. Upojenie dr. Kosiniaka-Kamysza wywołały okręty podwodne. Zapytany o to, ile wszyscy zapłacimy za nowe zabawki do wanny małego Władzia, wicepremier udzielił odpowiedzi, którą trudno uznać za precyzyjną: „To jest kontrakt, którego finalna cena jeszcze podlega negocjacjom, my ogłosiliśmy pewne widełki i one też były brane pod uwagę, a one w tej ofercie są atrakcyjniejsze niż w niektórych pozostałych, tyle mogę powiedzieć”. Ale widać było, że go korciło, żeby powiedzieć więcej, bo dorzucił: „Ale to jest powyżej 10-miliardowa inwestycja”… Okręty będą trzy, pierwszy w roku 2030. Co przywodzi nas do refleksji: przecież „Rosja będzie gotowa do ataku na kraje NATO” w roku 2029 (minister obrony Niemiec Boris Pistorius) albo nawet w 2027 (Donald Tusk za dowódcą wojsk NATO w Europie, gen. Alexusem Grynkewichem). Tak czy inaczej, w 2030 już będzie po wszystkim. Tak, wiemy, że na Ukrainie trwa to dłużej, ale konflikt Rosji z NATO będzie w sposób nieunikniony konfliktem atomowym, więc za wiele chyba nie warto planować na później. Można by oczywiście zaplanować pokój, a nie wojnę, ale to proponują tylko ruskie onuce. I prezydent Stanów Zjednoczonych. W Polsce wobec tych propozycji panuje słuszne oburzenie.

Wracając do zbrojeń, bo to był lejtmotyw tego tygodnia: premier Tusk na posiedzeniu rządu wypowiadał się o wydatkach na urządzenia do zabijania w nieco mniej chłopięcym tonie niż jego zastępca – ale też roześmiał się radośnie przy słowach „nie ma nic za darmo”. Radość Tuska ma większą skalę: 44 mld euro – z tego, co zrozumieliśmy, głównie na drony. Pieniądze pochodzić będą z programu europejskiego SAFE: „Bardzo tanich, no praktycznie darmowych kredytów” – poinformował dość zdawkowo premier. Po czym dodał z promiennym uśmiechem: „Patrzę, że minister Domański się marszczy, oczywiście nie ma nic za darmo, ale są to bardzo uprzywilejowane kredyty, terminy spłat bardzo korzystne”… 44 mld euro to prawie 200 mld zł. Może byłoby nie od rzeczy wiedzieć, kto to będzie spłacał i czy z odsetkami, czy bez.

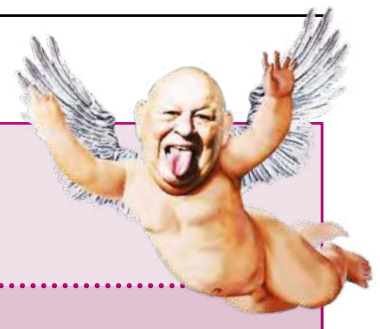
W PiS idzie na noże. Jak się dowiadujemy, frakcja „maślarzy” – nazwana tak od awantury, jaką jej luminarz Tobiasz Bocheński zrobił po tym, jak w Locie podano mu niemieckie masło – walczy z „harcerzami”, czyli ludźmi Morawieckiego. Morawiecki został skazany przez prezesa na banicję wewnętrzną, co przejawiło się w ten sposób, że nie załapał się do liczącej przeszło 50 osób Rady Programowej opracowującej program na wybory – wobec czego się obraził i nie przyszedł na spotkanie programowe, na którym miał wystąpić obok Czarnka. Czarnek należy bowiem do „maślarzy” wraz z Bocheńskim, Błaszczakiem, Sasinem i Jakim. Prezes obecnie gra na „maślarzy”, bo – jak donoszą wtajemniczeni dziennikarze – martwi się, że Mentzen śpi, a mu rośnie, i Braunowi też. Wobec narastania konkurencji od prawej ściany Jarosław Kaczyński postanowił pokazać twardzielstwo wobec Brukseli, a przecież wszyscy wiedzą, że Morawiecki kopsał rowa Ursuli, nawet Ziobro mu to wytykał. Ziobro nadal w Budapeszcie, ale jego następcy rosną jak na drożdżach.

Stosując się do drugiego przykazania Tuska, donosimy z dumą, że znakomite polskie służby ujęły trzeciego sprawcę powiązanego z zeszłotygodniowym „aktem terroryzmu” na torach. To znaczy ujęły pierwszego, bo dwaj pozostali spierdolili na Białoruś, a ten ujęty się nie połapał. Też jest Ukraińcem, jak dwaj uciekinierzy, nazywa się Wołodymyr B. i – jak podaje prokuratura – „we wrześniu 2025 r. zawiózł Jewhenija I. w rejon planowanych działań dywersyjnych (linia kolejowa nr 7 w okolicach miejscowości Mika i Gołąb), umożliwiając mu rozpoznanie terenu”. Rzecznik prokuratury okrasił tę sensacyjną wiadomość informacją, iż zatrzymanemu grozi dożywocie. Tak sobie myślimy: państwo, które straszy dożywociem za przewiezienie kumpla samochodem albo nie jest demokratyczne – albo nie jest poważne.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Listopad 2013 r.

Świętego Sidona

Po ulicy, przy której mieszkam, cwałuje stado czternastu dzików plus dwoje dziczątek. Wobec tego pudel Azor nie wychodzi na ulicę, bo mógłby dziki ukrzywdzić, a nawet one jego. Azor nie wie, za co spotyka go ta krzywda, bo dzików nie widział, a węch ma jak Gowin. Azor myśli, że to kara, a nie wie, za co – jak minister Nowak. Z obu tych przypadków wywodzi się powiedzenie „psie szczęście”.

Świętego Alberta

Minister Nowak wyleciał za to, że jego jawny zegarek był o 7 tys. zł za drogi. „NIE” donosi o dziesiątkach milionów chapniętych przez działaczy PO i nic. Prawdziwie nieuczciwa władza kradnie zaś miliardy. Nowaka wciąż napadano za to, że nie dotrzymuje terminów budowy autostrad. Zegarek był więc instrumentem niezbędnym mu do pracy, a nie korzyścią. Miał wartość równą milimetrom autostrady. Lud powiada, że jak ktoś ma pecha, to na własnej siostrze syfa złapie.

Świętej Małgorzaty

Media, podniecone zadymą robioną 11 listopada w Warszawie przez bandy nacjonalistów, zagłuszyły mowy krakowskie PiS – bądź co bądź aspirantów do władzy. Zdaniem Kaczyńskiego polskość jest źródłem nowoczesności i demokracji, a ta nastąpi, gdy on zjednoczy naród. Źródeł nowoczesności nie należy szukać za granicą, ale „wewnątrz energii naszego narodu, jego tożsamości i oryginalności”; „Demokracja wyrasta z polskości”. Red. Sakiewicz żądał zaś przeniesienia do Krakowa stolicy Unii Europejskiej: „Tu jest duch narodu, tu jest duch chrześcijański…”. Stąd Polska ma przewodzić środkowo-wschodniej Europie. Hm… Nawet polscy królowie nie chcieli przewodzić z Krakowa, a najmądrzejszy z nich, Stanisław Leszczyński, uciekł do Lotaryngii koło Brukseli.

Świętej Elżbiety

Ponieważ naznaczono mnie następcą Josepha Goebbelsa, pilnie studiuję jego „Dzienniki”. W pełni dziś podzielam jego pogląd wyrażony na koniec 1 września 1939 r.: „Musimy się trochę przespać”.

Świętej Audy

Media liberalne dostrzegły wreszcie, że Kościołem w Polsce rządzą bezrozumne mamuty zapiekłe w swojej pradawnej roli wielkorządców, ślepe na świat współczesny i jego wyzwania. Ich zdaniem przez to kryzys katolicyzmu będzie się pogłębiał i Kościół w swojej tradycyjnej formie zostanie potrzaskany. Mam inny pogląd. Kiedy do końca rozwalone zostaną instrumenty, dzięki którym Kościół zabiega o wszechobecność i wszechmoc, schroni się on wraz z biskupami na obszernym terytorium katolicyzmu ludowego. W Licheniu, Toruniu Rydzyka i na odpustach. Wśród egzorcyzmów, świętych kości i magii. I oblężony w ciemnogrodzie Kościół rozpocznie nową ekspansję. Wystarczy 25 proc. popleczników, żeby szachować resztę. Widziałbym na niebie obraz Matki Boskiej Łkającej, której łzy powodują powódź.

Świętego Tanguya

Szykując się do współwładzy, Leszek Miller w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” z 17 listopada w nawiązaniu do afery Rywina mówił o swoich rządach: „…myśmy niczego nie zamiatali pod dywan”. A przecież jego dywan był wzdęty jak Tatry. I tak łże polityk, który będąc premierem, nie rozdarł mordy, gdy facet mu się przyznał, że w imieniu szefa rządu domagał się od firmy Agora 17 mln dolarów łapówki za zmiany w ustawie. Do dziś nie wiadomo, kogo Miller krył, ale przecież nie krowę, choć to byk polityczny.

Świętego Edmunda

Nam, publiczności, mocno się już zużył temat pedofilii. Czas przejść od wymiany poglądów do pokazania i opisania szczegółów.

Prezentacji Marii (cokolwiek to znaczy)

Obrońcy Ikonowicza, przed i po jego uwięzieniu domagający się łaski prezydenta, wyszli na idiotów, co było do przewidzenia. Piotr I. ogłosił nieposłuszeństwo obywatelskie wyrokom sądów, jako męczennik poszedł do pierdla i dla wzmocnienia efektu ogłosił głodówkę. Gdy jego obrońcy rozpalili się do czerwoności, po paru dniach wyszedł sobie na wolność, zapłaciwszy należne od niego 1800 zł. Należy przyznać Komorowskiemu, że nie uległ naciskom i nie wyszedł na durnia, którego chcieli z niego zrobić obrońcy Ikonowicza.

Świętej Cecylii

Próbując być w nurcie i na fali, przeczytałem nagrodzoną nagrodą Nike powieść Joanny Bator „Ciemno, prawie noc”. Jest to patchwork zszyty z udanych strzępków ironicznego reportażu, z prozy typu surrealizm magiczny przechodzący w groteskę, a ta w ględzenie. Wszystko ukierunkowane słusznie pod względem ideowym. Wiedźmy leśne, mohery, pedofilia i biegi zdrowotne… Pragnę złożyć ślubowanie: nigdy więcej nie będę czytał beletrystyki. Chyba że sąd skaże mnie prawomocnie na powieść lub nowelę.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- W ramach akcji „Jak nie popaść w kłopoty” można skorzystać z porady **notariusza.** Pod tą sama nazwą można nauczać, jak poprawnie założyć kondoma.
- **Papież** zaapelował o ochronę światowego kina. Kto widział „Smoleńsk”, jest temu przeciwny.
- **Marek Jakubiak** zastanawia się, czy teraz posłowie będą dyskutować przy kompocie. Oby tylko używali jednorazowych igieł.
- Jak informuje press.pl, niektóre odcinki programu **Andrzeja Dudy** mają zaledwie kilkanaście tysięcy wyświetleń. Ciekawe, że podobny merytorycznie zapis dźwięków przyrody „Biały Szum” zgarnia ponad 300 mln.
- **Nicolas Sarkozy** zapowiedział książkę o swojej 20-dniowej odsiadce w więzieniu. W 20 dni to autor zdołał tylko liznąć temat.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Drugi Budapeszt

Kaczor dobrze kombinował z tym Budapesztem. Tylko że wszystko wyszło na odwrót, to Warszawa jest budowana w Budapeszcie, a nie Budapeszt w Warszawie. Powiem jak prawdziwy, zatwardziały ateista, chwała bogu za to. Przyczółki zostały zbudowane, Orbán ma już dwóch uciekinierów z Polski, kolejni czekają na swój czas. Cała ta Solidarna, Suwerenna Polska Ziobry to była złodziejska szajka, która zrobiła skok na państwową kasę. Myślę, że Matecki, Woś, Obajtek też zasłużyli sobie na przymusową emigrację. Mają oczywiście wybór, żurek w polskim więzieniu lub leczo w Budapeszcie. Gdybym mógł, to cały ten PiS (…) zapakowałbym w pociąg do Budapesztu z biletem w jedną stronę, bez prawa powrotu. Polska to jest bardzo dziwny kraj, tyle się tutaj dzieje, to odwieczna wojna polsko-polska sprawia, że tak ciężko jest z niej wyjechać. Moja ostatnia deklaracja, że opuszczam mój rodzinny kraj do nudnej, smutnej, depresyjnej Szwecji była zwykłym fake newsem. Nigdy nie opuszczę mojej ojczyzny w potrzebie, gdyż jestem zagorzałym patriotą, tej lepszej połowy Polski.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Ma znaczenie

Dziękuje niniejszym Annie Grodzkiej za wspaniałą i głęboko prawdziwą bajkę „Znaczenie ma znaczenie”.

Marcin Saar, Gdańsk

Statystycznie jest fantastycznie

Piszę trochę poniewczasie, ale nie aż tak. Chciałbym odpowiedzieć panu Robertowi z Płocka, autorowi listu wydrukowanego w nrze 43 (dot. tekstu Tadeusza Jasińskiego „Za długie jest życie staruszka”, „NIE”, nr 41/2025 – red.). Autor dziwi się, dlaczego wobec faktu, że statystyczna długość życia mężczyzny wynosi według ZUS i GUS około 75 lat, redaktor Jasiński pisze, iż statystyczny emeryt po przejściu na emeryturę będzie żył ponad 18 lat, czyli dożyje 83 z kawałkiem. Pan Robert podejrzewa, że tablice statystyczne służą ZUS-owi do wyliczenia jak najmniejszej emerytury. W sensie, że rozłoży się ją na 18 lat, a średni emeryt będzie żył 10, czyli ZUS tę niewypłaconą emeryturę za osiem lat schowa sobie do kieszeni. Nie ma tu jednak żadnego oszustwa, trzeba tylko umieć czytać dane statystyczne. 74,9 roku to jest oczekiwane dalsze trwanie życia dla mężczyzny właśnie urodzonego. Natomiast 18,2 roku to jest oczekiwane dalsze trwanie życia dla mężczyzny w wieku 65 lat. Razem 83,2. Po prostu.

Włodzimierz Rakowski, Wrocław

eprasa.pl a1d53bfa81

52. stan USA

NIE rozmawia z JANEM ŚPIEWAKIEM, doktorem nauk społecznych, aktywistą miejskim, autorem książek „Patopaństwo” i „Ukradzione miasto”

– Co myślisz o programie mieszkaniowym Lewicy? Czy ma jakiekolwiek szanse powodzenia, czy został zaproponowany na odczepnego?

– Wydaje mi się, że w tym momencie faktycznie poszły na ten program spore pieniądze. Trzeba powiedzieć, że Prawo i Sprawiedliwość na półmetku swoich rządów zrobiło jedną dobrą rzecz – bardzo podwyższyło subwencje. Wcześniej pieniędzy na budownictwo mieszkaniowe nie tylko było bardzo mało, ale też samorządy musiały wykładać mnóstwo swoich środków. Teraz sytuacja się odwróciła, subwencja może wynieść nawet 80 proc., a pieniądze docierają w miarę szybko. Lewica nie zmieniła zasad tego programu, ale zadbała o to, aby tych pieniędzy było znacznie więcej – na rok 2025 przewidziano między 2,5 a 3 mld zł. Oczywiście można mówić, że to wciąż nie jest dużo – niemniej dorzucili kasy do mechanizmu, który sprawdził się np. we Włocławku. Mamy SIM – Społeczne Instytuty Mieszkaniowe i to całkiem nieźle hula, tylko wymaga woli samorządów. Nie doszło do wprowadzenia kolejnego kredytu zero procent, co też jest dobre. To, co się do tej pory nie udało, to ograniczenie rentowności inwestycji w nieruchomości – obecnie mamy taką sytuację, że inwestowanie w mieszkania jest praktycznie zwolnione z opodatkowania, a ludzie zamiast inwestować w giełdę czy obligacje, kupują mieszkania. Jest nieźle, ale mogłoby być znacznie lepiej. Z jednej strony nie zrobili kolejnego boomu kredytowego, dosypali kasy do istniejącego programu, ale ograniczenie spekulacji się nie wydarzyło.

– Czy tzw. reprywatyzacja dalej trwa – bez HGW w ratuszu?

– Nie – i to jest duży sukces ruchów lokatorskich: nie dochodzi do „zwrotów” i nie ma eksmisji. W porównaniu do sytuacji z roku 2016 czy 2017 to jest gigantyczna zmiana na plus. Dużo rzadziej mamy blokady eksmisji – to nie jest tak, że nie mają miejsca, ale dzieją się z innych powodów. To, o czym obecnie mówią ruchy lokatorskie, to jest dzika rewitalizacja: ludzi wysiedla się teoretycznie na czas remontu, ale potem nie wracają już do siebie. Oczywiście to nie jest taka sytuacja jak podczas reprywatyzacji, że tych ludzi wypierdala się na bruk; dostają inne mieszkania. Problem z reprywatyzacją jest dziś taki, że nie doszło do żadnych wyroków, nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej…

– Poza tobą.

– Dokładnie. Umorzono sprawę morderstwa Brzeskiej, co było dość wstrząsające, bo w uzasadnieniu umorzenia napisano, że nie da się wykluczyć samobójstwa. Więc tak: zatrzymano proceder, zatrzymano mafię, nie ma eksmisji i przejmowania, ale sprawiedliwości nie wymierzono. Z drugiej strony, duża część lokatorów dostała odszkodowania, rodzina Brzeskiej również. Podsumowanie jest więc słodko-gorzkie. Udało się sporo, ruchy lokatorskie odegrały kluczową rolę. Niestety, trwa cały czas wyprzedaż mienia komunalnego, a nowe mieszkania nie są budowane. Warszawa w ogóle nie występuje o środki z programu budownictwa rządowego. Są gminy dwadzieścia razy mniejsze, które pozyskały na budowę mieszkań więcej pieniędzy niż Warszawa rządzona przez układ deweloperskо-liberalny. Ten układ oczywiście nie jest zainteresowany budową mieszkalnictwa socjalnego czy komunalnego.

– A ty wolałbyś Rafała Trzaskowskiego w pałacu prezydenckim czy w warszawskim ratuszu?

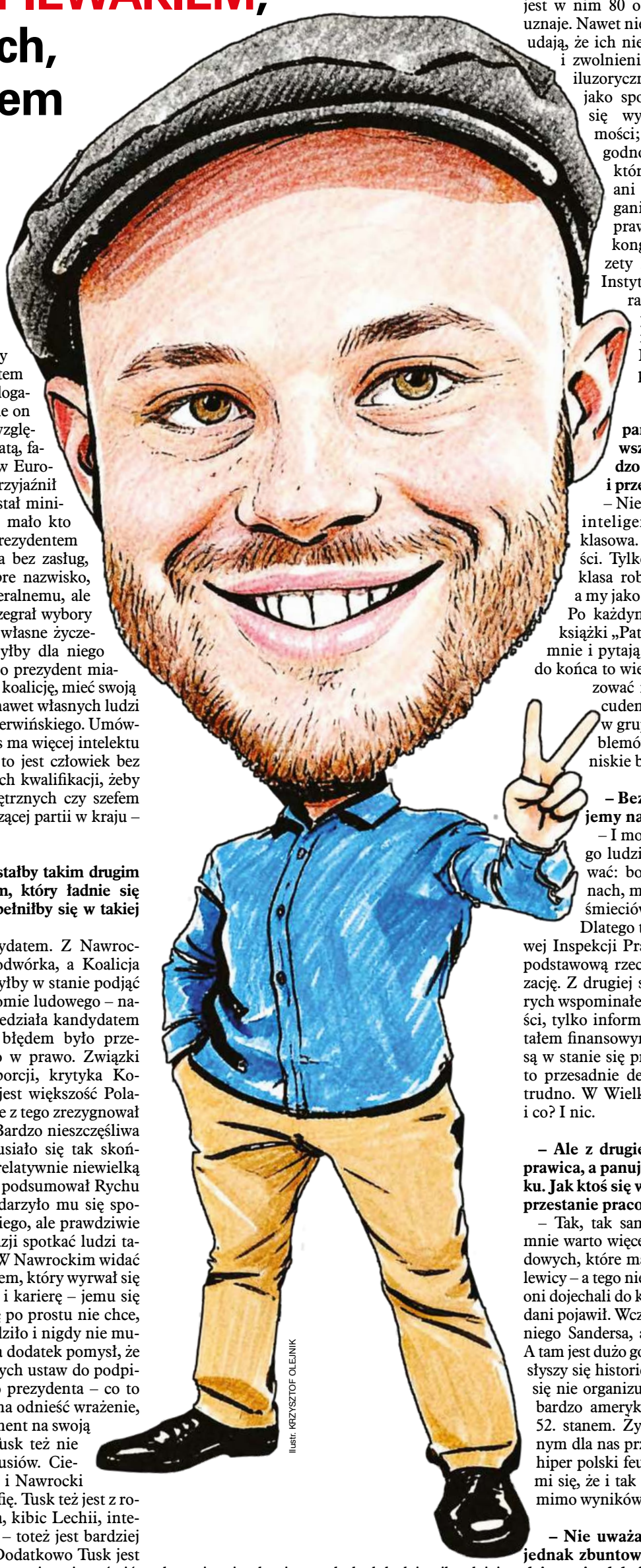
– Powiem tak: kariera tego człowieka jest dla mnie jednym wielkim nieporozumieniem. On nie ma praktycznie żadnych własnych sukcesów, jest politycznym impotentem. Nic w Warszawie nie osiągnął, nie jest w Warszawie obecny. Nie jest typowym politykiem, który ma ciąg na władzę; gdzie się nie pojawi, wygląda, jakby był tam za karę. Także to chyba bardziej pytanie do psychologa niż do polityka. Prezydenturę w Warszawie wygrał, bo – umówmy się – w Warszawie zostać prezydentem z list Platformy nie jest trudno. Można byłoby pomyśleć, że będąc prezydentem miasta, będzie próbował się dogadać z ruchami miejskimi – ale on nie wykonał żadnego gestu względem nas. Jest takim arystokratą, facetem, który dostał miejsce w Europarlamencie, bo był ładny i przyjaźnił się z Żebrowskim. Potem został ministrem administracji, o czym mało kto już pamięta, a następnie prezydentem Warszawy. Kariera człowieka bez zasług, który ma ładną buzię i dobre nazwisko, podobał się elektoratowi liberalnemu, ale przegrał wybory z Dudą i przegrał wybory z Nawrockim absolutnie na własne życzenie. Może Europarlament byłby dla niego najlepszym miejscem, bo jako prezydent miasta musisz zasuwać, budować koalicję, mieć swoją frakcję w partii, a on nie ma nawet własnych ludzi – jest otoczony przez ludzi Kierwińskiego. Umówmy się, podstarzały szympans ma więcej intelektu i charyzmy niż Kierwiński, to jest człowiek bez intelektualnych czy moralnych kwalifikacji, żeby być ministrem spraw wewnętrznych czy szefem największej struktury w rządzącej partii w kraju – a to on rządzi Warszawą.

– A może Trzaskowski zostałby takim drugim Bronisławem Komorowskim, który ładnie się uśmiecha? Może bardziej spełniłby się w takiej roli?

– On był fatalnym kandydatem. Z Nawrockiego zrobili chłopaka z podwórka, a Koalicja zamiast wybrać kogoś, kto byłby w stanie podjąć z Nawrockim walkę na poziomie ludowego – nazwijmy to – zwrotu, odpowiedziała kandydatem warszawki, elit. Kolejnym błędem było przesunięcie się Trzaskowskiego w prawo. Związki partnerskie, liberalizacja aborcji, krytyka Kościoła – za tym wszystkim jest większość Polaków. Trzaskowski kompletnie z tego zrezygnował i zaczął mówić tak jak PiS. Bardzo nieszczęśliwa kampania i strategia, to musiało się tak skończyć – choć przegrał i tak z relatywnie niewielką różnicą. Najlepiej te wybory podsumował Rychu Peja, który powiedział, że zdarzyło mu się spotkać ludzi pokroju Nawrockiego, ale prawdziwie przykre jest, że nie miał okazji spotkać ludzi takich jak Rafał Trzaskowski. W Nawrockim widać ten ciąg na bramkę, jest facetem, który wyrwał się z podwórka, zrobił doktorat i karierę – jemu się chciało. Trzaskowskiemu się po prostu nie chce, wszystko mu łatwo przychodziło i nigdy nie musiał się szczególnie starać. Na dodatek pomysł, że oni nie będą kierować trudnych ustaw do podpisu, bo poczekają na swojego prezydenta – co to jest w ogóle za absurd? Można odnieść wrażenie, że mają teraz wygodny argument na swoją indolencję. Umówmy się, Tusk też nie należy do specjalnych pracusiów. Ciekawe jest jednak to, że Tusk i Nawrocki mają bardzo podobną biografię. Tusk też jest z robotniczej rodziny z Gdańska, kibic Lechii, inteligent pierwszego pokolenia – toteż jest bardziej prawdziwy w tym, co robi. Dodatkowo Tusk jest politycznym mordercą, co by o nim nie mówić, to widać, że on weźmie i cię zajebie. Trzaskowski stoi przy nim trochę jak sierotka, aż się robi go żal…

– A co byś powiedział o polskim ruchu lokatorskim? Jakie są jego mocne i słabe strony?

– Ruch lokatorski został stworzony przez anarchistów; w dużych miastach tego typu ruchy wywodzą się ze skłotów. To ciekawe, dlaczego oni, a nie faktyczni lokatorzy? Na pewno dobrze, że udało mu się przetrwać, że ma ciągłość, wiedzę, umiejętności mobilizacyjne. Słabością jest to, że powoli brakuje młodych ludzi, choć przecież kwestia mieszkaniowa młodych ludzi najbardziej dotyczy. Dlaczego – to jest pytanie, które można ogólnie zadać w kontekście słabości lewicy w Polsce. Słabości ruchu lokatorskiego są takie same jak słabości całej polskiej lewicy – to środowiska nieliczne, bierne. Ludzie, zamiast się organizować, uciekają w indywidualne strategie rozwiązywania problemów. Tak jak powiedział Bronisław Komorowski: weź kredyt, zmień pracę. Pojawia się też postawa, którą nazwałbym strajkiem reprodukcyjnym: „pierdolę, nie będę miał dzieci”, bo nie jestem w stanie do końca się usamodzielnić ani zbudować sobie bezpiecznego środowiska. Na pewno środowiska lokatorskie mają ogromne zasługi zwłaszcza w kontekście afery reprywatyzacyjnej – ale dzisiaj brakuje wejścia na wyższy poziom i wyjścia poza ten paradygmat liberalno-kapitalistyczny.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Nie uważasz, że daliśmy się trochę zastraszyć? W Polsce strach założyć związek zawodowy w miejscu pracy. Pamiętamy zwolnionego za założenie związku w Sii czy analogiczną sytuację, z powodu której i ja, i ty razem z Piotrem Ikonowiczem blokowaliśmy siedzibę mBanku.

– Teraz założono związek zawodowy w Nokii, jest w nim 80 osób, a firma ich po prostu nie uznaje. Nawet nie robią im problemów, po prostu udają, że ich nie ma. Oczywiście, że są represje i zwolnienia, a prawo pracy w Polsce jest iluzoryczne, więc jesteśmy w rozsypce jako społeczeństwo. Lewicy nie udało się wytworzyć alternatywnej tożsamości; tylko prawica mówi językiem godnościowym, upodmiatawiającym, który trafia do ludzi. Ani Razem, ani Lewica nie obudowały się organizacjami, nie stworzyły ich. Po prawej stronie masz jeden, drugi kongres, instytuty, jakiś Klub „Gazety Polskiej” – a po lewej jedynie Instytut Daszyńskiego, który napisze raport raz na pół roku. A przecież jest przestrzeń na taką aktywność – spójrz na kluby Dwóch Lewych Rąk, które wypełniły potrzebę lewicowej wspólnoty.

– A nie masz wrażenia, że od paru lat o kwestiach dotyczących wszystkich rozmawiamy w bardzo małym, hermetycznym gronie i przez to kręcimy się w kółko?

– Niestety tak jest, Lewica jest dzisiaj inteligencko-wielkomiejsko-średnioklasowa. Co do tego nie ma wątpliwości. Tylko że tak jest na całym świecie: klasa robotnicza odpłynęła do prawicy, a my jako społeczeństwo jesteśmy rozbici. Po każdym spotkaniu dotyczącym mojej książki „Patopaństwo” ludzie podchodzą do mnie i pytają: no dobrze, to co robić? Ja nie do końca to wiem. Trzeba się na pewno organizować i działać, ale ten system jakimś cudem sprawia, że ludzie nie wierzą w grupowe formy rozwiązywania problemów. Może dlatego, że jest bardzo niskie bezrobocie.

– Bezrobocie jest niskie, ale pracujemy najwięcej w Europie.

– I może to jest też odpowiedź, dlaczego ludzie nie mają czasu się zorganizować: bo zapierdalają. Siedzą po godzinach, mają etat tu i pół etatu tam, są na śmieciówkach albo b2b, nie mają kiedy. Dlatego tak ważna jest reforma Państwowej Inspekcji Pracy, bo brak umów o pracę jest podstawową rzeczą, która uniemożliwia organizację. Z drugiej strony, ci goście z Nokii, o których wspominałem, to nie są robotnicy, montażyści, tylko informatycy – ludzie z wysokim kapitałem finansowym i kulturowym i nawet oni nie są w stanie się przebić. Nie chcę, żeby brzmiało to przesadnie defetystycznie, ale jest naprawdę trudno. W Wielkiej Brytanii niby rządzi lewica i co? I nic.

– Ale z drugiej strony, we Włoszech rządzi prawica, a panuje lewicowy duch, kultura strajku. Jak ktoś się wkurwi, to wyjdzie na ulicę albo przestanie pracować.

– Tak, tak samo jest we Francji. Ale według mnie warto więcej oczekiwać od związków zawodowych, które mają jakieś zasoby. I od istniejącej lewicy – a tego nie widzę w ogóle. Spójrz na Stany: oni dojechali do krawędzi i dopiero się jakiś Mamdani pojawił. Wcześniej nic nie wyszło – ani z Berniego Sandersa, ani z Alexandrii Ocasio-Cortez. A tam jest dużo gorzej, ludzie głodują, nie leczą się, słyszy się historie jak z Trzeciego Świata – a i tak się nie organizują i nie protestują. My jesteśmy bardzo amerykańskim społeczeństwem, takim 52. stanem. Żyjemy w systemie zaprojektowanym dla nas przez Amerykanów, nałożonym na hiper polski feudalizm, indywidualizm. Wydaje mi się, że i tak pewne rzeczy poszły do przodu, mimo wyników Konfederacji czy Brauna.

– Nie uważasz, że pokolenie Z trochę się jednak zbuntowało i zdecydowało, że nie będzie zapierdalać po 13 godzin?

– Na pewno jest was mało – dużo mniej, niż było millenialsów. Weszliście na rynek pracy, kiedy praktycznie nie było bezrobocia. A jeszcze z innej strony: jesteście wychowani w poczuciu, że nie będzie, kurwa, świata, że on się zaraz skończy. I to chyba prowadzi do nieco większej asertywności, ale nie przekłada się ciągle na organizację: ja powiem szefowi, żeby spierdalał, ale nie skrzyknę się z kolegami, by założyć związek. Wszystko odbywa się w ramach tego indywidualnego paradygmatu.

Rozmawiała
ANTONINA STEFFEN

eprasa.pl a1d53bfa81

Komuchy wracają

Czy dla ludzi Polski Ludowej jest miejsce w polityce?



Rys. OBYWATEL JANEK

Z wielkim rozbawieniem przyjąłem do wiadomości przejęcie funkcji marszałka sejmu przez Włodzimierza Czarzastego (spodziewane) oraz stanowiska szefa kancelarii sejmu – czyli przełożonego wszystkich pracowników administracji sejmowej – przez Marka Siwca. To drugie stało się podobno na prośbę Aleksandra Kwaśniewskiego, z którym Siwiec od wielu lat jest w szczerej przyjaźni i z którym bardzo blisko współpracował za czasów jego prezydentury.

To istny chichot, a nawet rechot historii, że po 36 latach od upadku komuny, niczym jakieś dinozaury, wstają ze swych emeryckich pieleszy starzy towarzysze z PZPR i człapią do pięknych gabinetów, objąć na nowo wysokie stanowiska. Zupełnie jak gdyby koło historii najpierw się po nich przejechało, a potem wyniosło ich z powrotem na szczyt, bo się do niego przylepili, gdy byli na dole. Okropnie mnie to śmieszy, a Marka pewnie jeszcze bardziej, bo siedząc od dekady na emeryturze, pewnie ani myślał o powrocie do pracy. Jednocześnie na swój sposób mnie to również cieszy, bo ja po prostu bardzo lubię Włodka i Marka jako ludzi. Lubię, mimo niewątpliwej skazy nihilizmu czy zblazowania, którą dekady przeżyte w polityce oszpeciły ich charaktery. Ale czy ja sam jestem lepszy, choć politykiem nie jestem?

Czarzasty miał wiele kontrowersyjnych słów i czynów w swojej długiej politycznej historii, a i mnie osobiście potrafił kopa w dupę zasadzić, a mimo to uroku osobistego, inteligencji i poczucia humoru odmówić mu nie potrafię. Od razu jednakże muszę tu zaznaczyć, że jego Pierwsza Wrogini (czy jest już taki feminatyw?), czyli Joanna Senyszyn, zajmuje w moim sercu miejsce należne rodzonej cioci, której wszak nie mam. A Marka to można łyżkami jeść. Jego słynne ziemi kaliskiej całowanie, które za sprawą Giertycha miało pogrążyć Kwaśniewskiego, tylko mu pomogło. Człowiek z helikoptera w jednej chwili przeszedł do historii politycznej popkultury polskiej i będzie „generował zasięgi" po wsze czasy. Ależ to były niewinne czasy!

Gdy już wszyscy wiedzą, jak to wygląda od strony prywatnej (po angielsku nazywa się to *disclaimer*, a po polsku to nie wiem – może „zastrzeżenie"?), przejdę do etycznego meritum, czyli pytania o skutki moralne uwikłania w autorytarne rządy. Inaczej mówiąc i zawężając rzecz do polskiego podwórka: czy dawni działacze, robiący prawdziwe kariery w PZPR i jej przybudówkach, mają moralne prawo pracować na najwyższych stanowiskach państwowych, zamiast spoczywać na śmietniku historii albo przynajmniej na emeryturze?

Zacząć wypada od konstatacji, że dalsza obecność w polityce funkcjonariuszy upadłych reżimów, nawet wiele lat po demokratycznym przewrocie, jest normą, a nie wyjątkiem. Tak bywa prawie zawsze; nawet wtedy, gdy taki reżim nie jest sobie, ot, autorytarny – jak Polska gierkowsko-jaruzelska – lecz autentycznie totalitarny i zbrodniczy. A dzieje się tak dlatego, że nawet najgorsze reżimy mają poparcie społeczne, przez co mniej zhańbieni i mniej zajadli ich funkcjonariusze mogą w sposób naturalny reprezentować w czasach demokracji te grupy społeczne, którym akurat było w owych ponurych czasach dobrze.

Nie zamierzam w żaden sposób bronić takich przypadków jak „powroty" hitlerowców, czerwonych Khmerów czy innych tam faszystów w Argentynie, Chile albo Indonezji. To jest smutna, amoralna wersja zjawiska ciągłości polityki, która podskórnie toczy się w oparciu o mechanizmy względnie odporne na zmiany ustrojowe i nastanie demokracji. To wstyd i hańba, gdy były żołnierz Wehrmachtu zostaje wybrany prezydentem demokratycznego państwa, jak to się zdarzyło 40 lat temu (a więc i 40 lat po wojnie) w Austrii. Tego rodzaju przypadki zostawiam na boku.

A jednak często zdarza się, że ludzie, którzy akurat mieli szczęście nie poznać na własnej skórze, czym jest życie w ustroju niedemokratycznym, wrzucają do jednego worka wszystkie takie państwa i reżimy, oburzając się na to, że ktokolwiek „z tamtych czasów" funkcjonuje w polityce „po przełomie". Wydaje im się, że każdy, kto brał udział w niedemokratycznych strukturach władzy, jest pohańbiony i niegodny żadnych stanowisk państwowych w czasach demokratycznych.

A to nieprawda! Po pierwsze dlatego, że ludzie się zmieniają. Po drugie dlatego, że w ustroju autorytarnym też można robić dobre rzeczy, nie będąc w opozycji, lecz działając w strukturach władzy. Po trzecie dlatego, że można będąc kimś takim – a nawet więcej: będąc karierowiczem w jakimś autorytarnym reżimie – jednocześnie nie być uwikłanym w żadne represyjne czy opresyjne działania. A po czwarte – i najważniejsze – reżim autorytarny może być naganny w większym bądź mniejszym stopniu i niejednakowo w różnych częściach swojej zwykle bardzo złożonej struktury.

Z ocenami moralnymi tak to już jest, że jeśli opierają się na bardzo ogólnych zasadach, to zwykle są niesprawiedliwe. Ogólne i słuszne zasady trzeba bowiem konfrontować ze szczegółami realiów ocenianej sytuacji. I tak co do zasady, funkcjonariusze autorytarnych reżimów powinni być trwale odsuwani od władzy w wyniku demokratycznego przewrotu. Jeśli jednak ten reżim nie jest zbrodniczy, lecz raczej należy określić go jako opresyjny, to samo bycie jego funkcjonariuszem nie przekreśla człowieka moralnie, nie kompromituje go na całe życie. A jeśli taka osoba wiele potrafi, może być do czegoś państwu przydatna, a w dodatku autentycznie zaakceptowała demokrację i praworządność, to jej funkcjonowanie w nowym ustroju staje się nie tylko moralne dopuszczalne, lecz nawet w jakiś sposób cenne – jako dowód „normalności", czyli złagodzenia społecznych konfliktów i panowania ducha umiaru, wykluczającego zemstę i represje wobec ludzi „dawnego ustroju", nawet gdy osobiście niczego złego nie uczynili.

I właśnie taki jest przypadek PRL. W ostatnich dekadach to państwo choć z pewnością nie było demokratyczne, to nie było też reżimem totalitarnym. Polska miała wybór: albo być sowiecką republiką, albo państwem satelickim ZSRR, zachowującym częściową autonomię. Wybrała to drugie. A skoro tak wybrała, to ktoś musiał tą Polską rządzić. Rządy były autorytarne, bo inne były niemożliwe. Dlatego nie można robić nikomu zarzutu z samego faktu, że był „czerwony". Zresztą

oficjalna ideologia PRL – choć zawierała elementy sowieckich kłamstw historycznych i usprawiedliwienie dyktatury wykluczającej wolne wybory i narzucającej cenzurę – generalnie była postępowa i nowoczesna.

Samo zaś państwo wprawdzie miało na sumieniu takie zbrodnie jak Poznań '56 czy masakra w Trójmieście w roku 1970, ale w ogromnej większości codzienne funkcjonowanie jego instytucji było względnie normalne i względnie praworządne. Nie każdy, kto był w tym państwie urzędnikiem bądź politykiem, może być obciążany odpowiedzialnością za zbrodnie aparatu bezpieczeństwa czy represje wobec opozycji. Państwo, nawet autorytarne, nie jest monolitem – jedne jego części mogą być patologiczne i przestępcze, a inne przyzwoite.

Aleksander Kwaśniewski i jego koledzy, którzy do dziś są politykami, nie byli uwikłani w niegodziwości PRL. Owszem, nie protestowali, a nawet czerpali korzyści z przynależności do PZPR, ale ich rozwój moralny i polityczny uczynił z nich demokratów. Ba, z samego Kwaśniewskiego uczynił wręcz męża stanu, wchodzącego już w rolę nestora polskiej polityki. Czyż nie jest to w sumie bardzo optymistyczne? A więc może nie tyle chichot ani rechot historii, lecz szeroki uśmiech?

JAN HARTMAN

Antykomuch domowy

Batyr w Chinach Ludowych

„Jestem inny niż Andrzej Duda" – taki tytuł nosi wywiad udzielony przez prezydenta Karola Nawrockiego prawicowemu tygodnikowi „Do Rzeczy".

A w nim dziennikarz Karol Gac pyta: „We wrześniu spotkał się pan z chińskim ministrem spraw zagranicznych. Planuje pan podróż zagraniczną do Pekinu?

A prezydent Nawrocki odpowiada: „Jeśli chodzi o Chiny, to rzeczywiście miałem bardzo dobre, konstruktywne spotkanie z ministrem spraw zagranicznych Chin. Otrzymałem wtedy zaproszenie od przewodniczącego Xi Jinpinga i sądzę, że do takiej wizyty dojdzie. Polska ma oficjalne dyplomatyczne relacje z Chinami, a te relacje, które są obowiązujące dla głowy państwa, będą realizowane na arenie międzynarodowej".



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Można rzec, że jednak zachował się jak prezydent Duda. Ten regularnie do Chin latał, nawet podwyższył relacje polsko-chińskie do poziomu „pogłębionego partnerstwa strategicznego". To dało korzyści państwu polskiemu, polskiej gospodarce, a także prezydentowi Dudzie i jego współpracownikom.

Prezydent Duda uważał się za prawicowca, ale w wersji soft. Prezydent Nawrocki ubrał się w zbroję ostrego walczącego antykomunisty.

Niedawno bojowo zadeklarował: „Mamy dziś sytuację w państwie, w której prezydentem Polski jest antykomunista i były prezes Instytutu Pamięci Narodowej, marszałkiem sejmu jest postkomunista, mamy bardzo odległe wizje państwa, przeszłości, myślę, że także naszej przyszłości, ale będziemy przyglądali się temu".

Zabawne, bo wspomniany przewodniczący Xi Jinping jest też sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Chin. Komunistami prawdziwymi, a nie jakimiś „postkomunistami", są też premier Chin, marszałek chińskiego parlamentu i wspomniany minister spraw zagranicznych. I pan prezydent nie grozi im swoim „przyglądaniem się".

A podczas wizyt w Chinach ten prezydent „antykomunista" powinien się przyglądać, bo będzie jeździł limuzyną marki Hongqi, po polsku „Czerwony sztandar". Będzie goszczony na komunistycznych salonach, gdzie roi się od przeróżnych „komunistycznych symboli".

Będzie jadł na wypasionych „komunistycznych" bankietach, a po pracy zaśnie w „komunistycznym" apartamencie.

On i towarzyszący mu „antykomuniści" dostaną zwyczajowe tam liczne cenne „komunistyczne" podarki. Przyjmie je, jak przyjmował prezydent Duda i inni polscy „antykomunistyczni" liderzy.

Bo polski „antykomunista", zwłaszcza tak bojowy jak prezydent Nawrocki, brzydzi się „komunizmem" i „postkomunistami" jedynie w polskich mediach. Może tam pluć na czerwony sztandar, aby zwabić głosy swego „ciemnego ludu". W Polsce łatwo być „antykomunistą", bo nie ma tu silnego ruchu komunistycznego, a „postkomuniści" są w wieku dinozaurów. Nie rządzą tak jak w Chinach.

Dlatego poza granicami Polski taki antykomunistyczny batyr zwykle nie brzydzi się „komunistycznymi" liderami, symbolami, korzyściami. Niektórzy szybko zaczynają też lubić tamte „czerwone koperty".

GAD

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Pochodzi z porządnej hindusko-polskiej rodziny. Mógłby uchodzić za egzotycznie uroczego człowieka. Katolik, ale gdzie napisano, że katolik nie może mieć horyzontów szerszych niż stąd do kruchty? Może i niezdrowo, ale ambitny: z funkcji rzecznika prasowego Inspekcji Transportu Drogowego doszedł do stanowiska ministra infrastruktury w dwutygodniowym rządzie Mateusza Morawieckiego. Alvin Gajadhur ma wszelkie zadatki na urzędnika jeśli nie pierwszego, to co najmniej drugiego planu na pisowskiej scenie politycznej. Niestety, jest przeraźliwym głupkiem!

Gdy był doradcą prezydenta Andrzeja Dudy, na każde pytanie zadane publicznie sławił chwałę prezydenta Dudy. Teraz, gdy jest doradcą prezydenta Karola Nawrockiego, każda publiczna odpowiedź Gajadhura kończy się pochwałą prezydenta Nawrockiego. Dziennikarz pyta o to, dlaczego prezydent nie promował oficerów służb specjalnych, Gajadhur odpowiada: „pomidor". A dlaczego nie awansował sędziów? Pomidor.



Można by powiedzieć, że mu za to płacą. Ale nie – 52-letni pół-Hindus, pół-Polak robi z siebie całego durnia za darmo, gdyż jest prezydenckim doradcą społecznym.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl a1d53bfa81

Zombie Grupy Trzymającej Władzę ożyło

Jadowite żądło profesora Nałęcza

Tomasz Nałęcz, przewodniczący pamiętnej komisji rywinowskiej, w 2004 r. podpisał się pod raportem końcowym swojego zastępcy Zbigniewa Ziobry, stwierdzającym, że hersztem Grupy Trzymającej Władzę, która zażądała od Agory łapówki w kwocie 17,5 mln dol. za subtelny dopisek „i czasopism" w ustawie „dekoncentracyjnej", był premier Leszek Miller. Profesor złożył podpis, chociaż wiedział, że Miller w całej aferze Rywina ma stuprocentowe alibi! Jest wprost niemożliwym wyobrazić sobie katusze sumienia wykwintnego moralisty, który dla szlachetnego celu zniszczenia lewicowej formacji SLD musiał dopuścić się nikczemnego kłamstwa.

W publikacji „Przychodzi Rywin do Urbana" („NIE" nr 7/2024) przekonywałem, że Rywin nie skłamał, oświadczając, iż cały korupcyjny interes omówiony był z „Leszkiem Millerem", a jedynie dopuścił się błędu w adresie. Marcin Rywin zgodnie z prawdą poinformował tatusia, że podczas wędkowania w Jeziorze Bełdany rzecz została „uzgodniona z Leszkiem Millerem" – atoli chodziło o Leszka Juniora, pierworodnego syna premiera, który z ust własnego ojca podczas obiadu usłyszał relację o przebiegu prac legislacyjnych nad ustawą „dekoncentracyjną".

Całą intrygę korupcyjną z Grupą Trzymającą Władzę i przekręt szyty na miarę „Ządła" z Robertem Redfordem w roli pierwszoplanowej wymyślił – twierdziłem (i twierdzę nadal) – niegrzeczny, lecz ambitny chłopiec w wieku, tak na oko, około trzydziestki. Syn premiera był częstym gościem Marcina Lwowicza Rywina w jego posiadłości nad Bełdanami. Identyczność imion i nazwisk premiera i jego syna skutkowała między innymi pozyskaniem przez Leszka juniora kilku intratnych posad w radach nadzorczych spółek skarbu państwa. Marcin Rywin, godny zaufania biznesmen i lobbysta bez skazy, przystał do projektu biznesowego młodego Millera, ponieważ jego ukochany tatuś stracił właśnie dobrą posadę w Telewizji Canal Plus, a projekt zakładał objęcie przez Lwa Rywina prezesury w Telewizji Polsat, wykupionej przez Agorę dzięki inkryminowanej zmianie w ustawie.

Teraz, gdy Leszek Miller jest już tylko sympatycznym staruszkiem komentującym z boku i z dystansu wydarzenia na scenie politycznej, Tomasz Nałęcz odkrył, że faktycznym hersztem GTW był ówczesny sekretarz KRRiTV Włodzimierz Czarzasty.

Odkrycie to umieścił w książce pt. „Afera Rywina. Poszukiwanie prawdy" i opowiadał o nim obficie w wywiadach dla „Newsweeka" i „Gazety Wyborczej": „Urząd marszałka sejmu dla Włodzimierza Czarzastego może oznaczać wiele problemów dla niego i całej koalicji. Im człowiek się wyżej wspina, tym jest bardziej widoczny i poddany bacznej uwadze, na przykład, konkurencji. Przeciwnicy tej koalicji będą ją dezawuować, odwołując się do niejasnej przeszłości Czarzastego. Jako szef komisji badającej aferę Rywina jestem przekonany, że nie wyjaśnił udziału w tym wydarzeniu. Nie życzę mu tego, bo kibicuję koalicji, ale nie wykluczam, że stare grzechy jeszcze go dopadną"…

Na moment przed ukąszeniem Nałęcz oświadcza, że nie życzy nieszczęścia Czarzastemu, bo kibicuje koalicji, po czym strzyka jadem: „Zmiana stanowiska w tej sprawie wydaje się już niemożliwa, jednak moim zdaniem marszałkiem sejmu do końca kadencji powinien być Szymon Hołownia, który dobrze wywiązywał się z tej roli".

W momencie obejmowania urzędu Marszałka Seniora, po złożeniu urzędu przez ustępującego marszałka rotacyjnego Szymona Hołownię, subtelny ironista Włodzimierz Czarzasty potwierdził opinię prof. Nałęcza. Hołownia z obowiązków marszałkowskich wywiązywał się jak należy, ale jako jego rotacyjny następca Czarzasty zapewnia, że w jego przypadku nocne wycieczki do mieszkania posła Bielana, gdzie za kotarą ukrywałby się prezes Jarosław Kaczyński, są kategorycznie wykluczone.

Prof. Nałęcz mógł bezkarnie obrzucać inwektywami lidera Lewicy, dopóki ten w mateczniku siedział i uznawał wdawanie się w utarczki słowne z byłym przewodniczącym komisji rywinowskiej za coś poniżej jego godności. Ale teraz skończyły się żarty. Inwektywy Nałęcza stwarzają zagrożenie dla spójności Koalicji 15 Października i marszałek Czarzasty wydał oświadczenie, że rozważa wkroczenie na drogę prawną.

– Precz z komuną! – pokrzykiwała sejmowa gawiedź niezadowolona z wyboru. Co znamienne, posłowie protestujący przeciwko wyborowi Czarzastego na drugą osobę w państwie powoływali się właśnie na Nałęcza i jego spóźnione o 20 lat odkrycie.

W wywiadzie dla Tomasza Sekielskiego, redaktora naczelnego „Newsweeka", Nałęcz oświadczył, że z wyczyszczonego dysku z komputera minister Aleksandry Jakubowskiej, dzięki pomocy dziennikarzy, udało mu się odtworzyć istotne fragmenty, które niezbicie świadczą o kierowniczej roli Włodzimierza Czarzastego w aferze łapówkarskiej Lwa Rywina.

W prasie centralnej i w periodykach prowincjonalnych, na portalach społecznościowych i w stacjach telewizyjnych miliony razy powtórzono sensacyjną wiadomość, że Nałęczowi po upływie lat udało się odtworzyć zniszczony dysk z komputera Jakubowskiej, czego nie potrafiło dokonać krakowskie Laboratorium Kryminalistyczne... Dał się na tę hucpę Nałęcza nabrać także przytomny zazwyczaj Leszek Miller, który z pewną jak gdyby schadenfreude, ogłosił na platformie X: „Tomasz Nałęcz w »Newsweeku« na pytanie, kto był mózgiem tzw. afery Rywina: »Z odtworzonego dysku komputera Jakubowskiej wynika jednoznacznie, że mózgiem operacji był Włodzimierz Czarzasty«".

Ale naprawdę cieszy się ten, kto się cieszy ostatni. Na moje pytanie, freelancera dziennikarskiego, czy przed opublikowaniem rewelacji prof. Nałęcza miał w ręku odtworzony dysk Jakubowskiej, żadnej odpowiedzi nie udzielił redaktor naczelny „Newsweeka" Tomasz Sekielski – i prawie natychmiast stracił posadę. Identycznie zachował się Roman Imielski, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", ale wytrwał na swoim stanowisku. Właścicielka wydawnictwa Sonia Draga, która w dobrej wierze, lecz pochopnie, wydrukowała pełną fundamentalnych kłamstw i insynuacji książkę Nałęcza, zbyła milczeniem moje listowne pytanie dotyczące odtworzenia zniszczonego dysku, sformułowane na bitych sześciu stronicach i zawierające 20 tys. znaków.

Tomasz Nałęcz w swoim bajdurzeniu o naprawionym dysku Jakubowskiej posunął się o jeden most za daleko. I teraz adwokat oskarżyciela prywatnego może przygwoździć oskarżonego profesora żądaniem wskazania na dysku tych fragmentów nagrań, z których jednoznacznie wynika, że hersztem w aferze był sekretarz KRRITV.

I przemówi wówczas mecenas: „Gdzie jest ten dysk, gdzie są ci dziennikarze, którzy profesorowi pomogli znaleźć prywatną firmę, zdolną wykonywać zadania, przed którymi musiało skapitulować Centralne Laboratorium Kryminalistyki w Krakowie? No i jak się ta firma nazywa, bo przecież zasługuje ona na odrobinę państwowej reklamy za dobrą robotę na rzecz wymiaru sprawiedliwości. Proszę odpowiadać natychmiast, zanim zaczniemy strzelać paragrafami"…



Ilustr. PAWEŁ FERENC

JAKUB KOPEĆ

Moja Europa

Bajki dla myślących

Nigdzie nie jadę

Dziś napisałam bajkę o Europie!

Kiedy patrzę na to, co dzieje się w świecie i w moim kraju, ogarniają mnie patriotyczne emocje. Chcesz je ze mną przeżyć? To posłuchaj…

Chcę żyć w Europie, tu i nigdzie indziej, bo tylko tutaj powietrze – nawet to zadymione propagandą, przesiąknięte sporami i ciężkie od codziennych absurdów – pozostaje powietrzem wolnych ludzi, a nie kontrolowanym ładunkiem wstrzykiwanym przez państwowe respiratory. I tak, narzekam na tę naszą demokrację – kulawą, niezdarną, czasem udającą, że żyje, gdy ledwo zipie – ale za każdym razem, kiedy łapię się za głowę i pytam: „a niby gdzie miałabym żyć?", odpowiedź przychodzi sama: w Europie. Bo tutaj społeczny klimat, nawet w najgorszym sezonie politycznych burz, nadal pachnie wolnością, a nie ciężkim smrodem autorytaryzmu.

Wyobraź sobie ten moment: patrzysz na rzeczywistość z lotu ptaka, lub – skoro żyjemy w czasach technologicznej metafory – „mentalnego drona", który widzi kontynenty jak rozłożone teatralne scenografie. I dopiero wtedy widać, że demokracja, nawet kulawa, nawet obśmiana, tworzy jedyny możliwy ekosystem, w którym człowiek nie staje się surowcem dla państwa. Gdzie indziej powietrze miałoby być świeższe? Na pewno nie w Rosji, gdzie o wolności myśli, a tym bardziej słowa, nie może być nawet mowy. Nie w inwigilowanych przez technologię Chinach, gdzie nawet sztuczna inteligencja ma zakaz wypowiadania się na wiele tematów, bo „jej oddech" musi być zgodny z polityczną linią. Nie w saudyjskim kalifacie miliardowych transakcji. Nie w Ameryce Łacińskiej, gdzie demokracja zbyt często siedzi na tykającej beczce prochu. I nie w USA, które tak wielu przedstawiało jako wzorzec z Sevres, dopóki korporacyjno-oligarchiczna rzeczywistość nie zdarła tej królewskiej szaty do naga, ujawniając nowoczesny feudalizm przebrany za patriotyczne show.

Powiesz pewnie, że współczesna demokracja wszędzie bywa tylko fasadą. I masz rację. Teoretycznie może być doskonała, ale podarowana narodowi nieprzygotowanemu, zostaje spacyfikowana przez tych, którzy mają media, broń i pieniądze. Władza w ich rękach jest tak samo szkodliwa jak władza w rękach bandytów; różni się tylko estetyką przemocy.

Ale czy jest alternatywa? Autokratyczny, oświecony władca? Daj spokój. Każdy mądry monarcha jest tylko przystankiem na drodze do jego następcy – brutalnego debila z pałką.

Tak. Wolę żyć w Europie, mimo że decyzje nie zapadają tu tak szybko, jak w autorytarnej konkurencji. Mimo że inwestycje nie są tu tak jak u nich odważne. Mimo że także demokracja nie jest doskonała. I może właśnie dzięki temu, że tak często narzekamy, krytykujemy, drapiemy demokrację pazurami, ona wciąż oddycha. Bo naród, który krzyczy, to naród nieujarzmiony.

A teraz spójrzmy z lotu drona na świat. USA? Wyobraź sobie kraj, który żyje w dziwnym stanie podwójnej schizmy: wolnościowej mitologii kowbojów i realnej dominacji korporacyjnych gigantów, którzy zmieniają reguły gry szybciej, niż Kongres zdąży je przeczytać. Kraj, który grabi połowę świata, grożąc brutalną siłą lotniskowców i F35. Owszem, Ameryka ma błyskotliwy dynamizm oparty o interesy oligarchów, ale ma też kulturę polityczną, w której połowa społeczeństwa wierzy, że druga połowa jest wcieleniem zła. W Europie konflikt jest mniej teatralny – bardziej przypomina rodzinny obiad, na którym kłócimy się o wszystko, rozstajemy często bez konkluzji, ale wciąż siedzimy przy jednym stole.

Chiny? Gigant, który co prawda wyzwolił miliard ludzi z tragicznej biedy, ale kosztem ich wolności. Rosja? Majaczenie o smoku, który zjada swych kronikarzy i sam dopisuje historię. Arabia Saudyjska? Lśniąca klatka rządzona przez władcę koronnego Muhammada ibn Salmana sprawującego władzę dłużej niż dwaj ostatni prezydenci Stanów Zjednoczonych. Kraje Ameryki Łacińskiej i Afryki? Mieszanka aspiracji i brutalnej geografii politycznej. Nigdzie nie ma tej europejskiej neurotycznej, męcząco-wyzwalającej mieszanki: krytycyzmu, nieufności wobec władzy, obsesji na punkcie praw jednostki i uporu, by rządzący bali się rządzonych.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dlatego Europa – ze swoim chaosem, sceptycyzmem, rozgadaniem, parlamentarnymi farsami i moralnymi potknięciami – nadal jest miejscem, które wybieram. Bo tutaj demokracja jest jak staruszka o kulach, która mimo problemów z chodzeniem idzie dalej, broniąc jeszcze (oby skutecznie!) wolności – przed tymi, którzy chcieliby ją „naprawić" na swój ponury sposób. Ci, którzy wołają o silne rządy, o „trumpistów, orbanistów, putinistów", nie rozumieją jednego: że silny rząd nie jest lekarstwem na słabą demokrację, lecz jej pogrzebem.

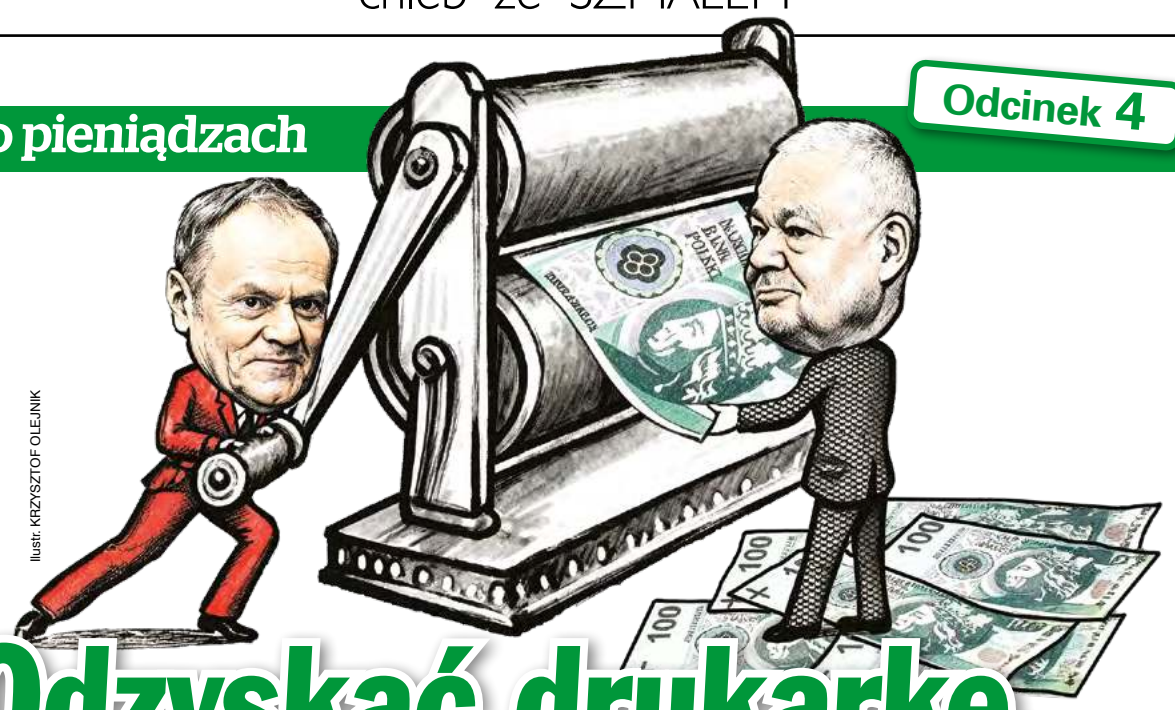
Puenta? Tylko taka: skoro powietrze Europy jest warte oddychania, to pytanie nie brzmi „czy mamy lepszą opcję?", lecz „czy zdołamy to powietrze utrzymać świeże".

ANNA GRODZKA

eprasa.pl a1d53bfa81

Czego ci nie mówią o pieniądzach

Odcinek 4



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Odzyskać drukarkę, naprawić nasze życie

Codziennie słyszysz i czytasz tzw. ekspertów i polityków, straszących, że „mamy do czynienia z horrendalnym długiem państwa, który spłacać będą musiały nasze dzieci”, co ilustrowane jest porównaniem budżetu państwa do budżetu domowego. Tymczasem sytuacja naszego prywatnego portfela jest całkowicie odmienna od sytuacji państwa: my jesteśmy jedynie użytkownikami pieniędzy emitowanych przez państwo, a państwo może je tworzyć. Emitent własnego pieniądza nie może zbankrutować – my tak.

W świecie ekonomii głównego nurtu, czyli w systemowej ortodoksji, panuje spokój i konsensus w tej sprawie. Wszyscy grzecznie zgadzają się, że system, jaki mamy, jest jedynym możliwym. Tymczasem na obrzeżach oficjalnej ekonomii, w europejskich i amerykańskich think tankach, trwa cicha – bo usilnie wyciszana – rewolucja. Pracują tam ekonomiści heterodoksyjni (nieortodoksyjni) – przezywani czasem „heretykami” – którzy nie tylko krytykują, ale przede wszystkim projektują zupełnie nową architekturę finansową.

Heretycy

To nie są anonimowi samotni buntownicy. To prężne, oparte o naukę organizacje – takie jak Positive Money w Wielkiej Brytanii czy Monetative w Niemczech. To wielu naukowców na całym świecie, z amerykańskim ekonomistą Warrenem Moslerem, twórcą teorii Modern Monetary Theory (MMT), na czele. Ich diagnoza jest radykalna: obecny system, w którym prywatne banki tworzą 97 proc. pieniądza jako oprocentowany dług, jest z natury niestabilny, generuje kryzysy i prowadzi do absurdalnych nierówności – czyli jest do dupy.

Ale krytyka, mimo że jest warunkiem koniecznym zmiany, nie wystarcza. Potrzebne są propozycje rozwiązań. Oni pokazują bardzo atrakcyjną i sensowną alternatywę: „Sovereign Money” (pieniądz suwerenny) lub „Vollgeld” (pieniądz pozytywny).

Pamiętacie, co pisałam o powstawaniu pieniądza: że tworzą go banki komercyjne z niczego (ex nihilo), bo nie posiadają tego, co pożyczają. Mają na stanie jedynie „rezerwę cząstkową”, to znaczy ok. 3 proc. wartości kredytów, których udzielają. Główny postulat heretyków to: odebrać bankom komercyjnym licencję na tworzenie pieniądza – niech pożyczają tylko te pieniądze, które rzeczywiście posiadają. 100 proc. możliwości tworzenia pieniędzy oddajmy państwowemu niezależnemu bankowi centralnemu – takiemu jak NBP w Polsce.

Pieniądz jako dar, nie dług

Gdyby polskie banki komercyjne przestały emitować nowe pieniądze w formie kredytów – sytuacja wróciłaby do przewidzianej w konstytucji normy, że jedynym emitentem polskiej złotówki jest Narodowy Bank Polski. (Niezgodność polskiego systemu bankowego z konstytucją opisałam w drugim odcinku tej serii, „NIE” 46/2025).

Polska jest póki co państwem posiadającym własną suwerenną walutę. Dlatego ma szansę postąpić tak, jak radzą heretycy. Twierdzą oni, że tworzenie pieniądza to naturalny monopol publiczny, a zyski z niego powinny trafiać do społeczeństwa, a nie na tzw. rynki finansowe.

Nowy pieniądz, tworzony przez niezależny bank centralny, byłby z definicji bezodsetkowy. Byłby „pozytywnym” zasobem, a nie „negatywnym” długiem. Pamiętacie z felietonu w zeszłym tygodniu, jaki skutek może przynieść produkcja w oparciu o bezodsetkowe pożyczki: dla cen, przecież nie tylko.

Heretycy proponują także inny sposób, w jaki pieniądze emitowane przez państwowy bank centralny miałyby trafiać do ludzi. Rysują dwie główne ścieżki:

1. Dywidenda obywatelska: najprostsza i najbardziej radykalna. Bank centralny, realizując cele inflacyjne, przelewa nowo stworzone pieniądze bezpośrednio na konta wszystkich obywateli. Po równo. Jest to czysta forma „daru” – bezwarunkowy zastrzyk gotówki, który zasila realną gospodarkę od dołu. Jedną z tych form może być pewnie znana wam idea „bezwarunkowego dochodu podstawowego”.

2. Drugą – pewnie nawet podstawową – metodą, byłoby finansowanie wydatków publicznych: państwo potrzebuje sfinansować transformację energetyczną, zbudować nową linię kolejową lub szpital? Zamiast emitować obligacje i zadłużać się u prywatnych inwestorów (płacąc im przez dekady odsetki), mogłoby otrzymać bezodsetkowy transfer nowych pieniędzy z banku centralnego. (Nawiasem mówiąc, w naszej kochanej Polsce taki transfer jest prawnie zakazany.)

Oto pieniądz jako „dar”!

Heterodoksyjna koncepcja nie wyklucza, aby emitowane przez państwo pieniądze wspierały komercyjne banki dla podtrzymania ich zdolności udzielania kredytów – ale odwraca sytuację. Bo to nie prywatne banki i instytucje finansowe mają pożyczać pieniądze państwom, ale przeciwnie: państwa bankom.

Deficyt, który przestaje straszyć

I tu dochodzimy do najciekawszej herezji: co z deficytem budżetowym?

W obecnym systemie deficyt budzi grozę ortodoksów i wystraszonych przez nich obywateli. Oznacza on, że państwo musi albo podnieść podatki (czego politycy boją się jak ognia), albo pożyczyć pieniądze (wyemitować obligacje, czyli zadłużyć się), zwiększając tym samym dług publiczny.

Heretycy z Positive Money i Monetative mówią: stop!

Ta obsesja na punkcie mechanicznego „równoważenia budżetu” jest reliktem epoki, w której państwo musiało pożyczać pieniądz od prywatnych podmiotów. W systemie „pieniądza suwerennego” państwo, które samo tworzy pieniądz, nie może „zbankrutować” we własnej walucie, bo zawsze może je wyemitować. Gdy rząd państwa posiadającego suwerenną walutę decyduje się wydać więcej, niż zebrał z podatków (czyli generuje deficyt) – może to sfinansować nowym, bezodsetkowym pieniądzem publicznym. W takim ujęciu deficyt to nie dług. Staje się po prostu narzędziem wprowadzania pieniądza do obiegu i realizacji celów publicznych.

Oczywiście, to nie jest propozycja „drukowania bez końca”. Reformatorzy podkreślają, że jedynym prawdziwym ograniczeniem dla wydatków państwa nie jest księgowy zapis czy decyzja polityczna – ale inflacja.

Nawiasem mówiąc, wzięty z sufitu – a wpisany do Konstytucji RP – limit długu państwa jako 60 proc. PKB wprowadzono pod naciskiem Leszka Balcerowicza, ówczesnego przewodniczącego Unii Wolności. Faktem jest natomiast to, że pieniądza można tworzyć tylko tyle, ile gospodarka jest w stanie wchłonąć, produkując nowe towary i usługi. To stan gospodarki decyduje o skali emisji pieniądza, a nie abstrahujące od rzeczywistości sztywne decyzje prawne i polityczne. Jeśli pieniędzy będzie za dużo w stosunku do realnych zasobów – pojawi się inflacja. Jeśli zbyt mało, to gospodarka będzie zwalniać. Pomyślmy, ile tracimy, ustanawiając sztywne limity dla dynamicznej gospodarki. To jest realny, ekonomiczny problem, a nie sztuczny problem długu.

Bankier jako prawdziwy pośrednik

Pisałam o tym, że według heretyckiej teorii komercyjne banki mają przestać tworzyć pieniądze jako dług – bo przecież nie tworzyłyby niczego, pożyczając jedynie to, co mają. Czy banki nadal będą mogły udzielać kredytów na mieszkania, zakupy i działalność biznesową? Tak.

Banki komercyjne oczywiście zostają. Tylko w tej sytuacji będą robić to, co większość ludzi myśli, że robią już dziś: będą pożyczać tylko te pieniądze, które realnie posiadają. Będą pośrednikami między tymi, którzy mają oszczędności, a tymi, którzy potrzebują kredytu.

W takim świecie stopa odsetkowa wreszcie zaczyna pełnić swoją prawdziwą rolę. Nie jest już narzędziem banku centralnego i Rady Polityki Pieniężnej do stymulowania (lub hamowania) kreacji długu. Staje się autentyczną rynkową ceną za pożyczenie istniejącego kapitału, ustalaną przez realną podaż oszczędności i realny popyt na inwestycje. Banki musiałyby konkurować o nasze depozyty albo pożyczać od państwa, aby udzielać kredytów. Musiałyby też znacznie mądrzej oceniać projekty, bo w razie porażki traciłyby realne pieniądze, a nie tylko wirtualny zapis stworzony z powietrza.

To nie jest utopia. To przemyślany, alternatywny system operacyjny dla gospodarki. Heretycy z Positive Money i Monetative nie chcą palić banków; oni chcą po prostu, aby oddano nam naszą drukarkę.

A kiedy usłyszysz, że powinniśmy przestąpić do strefy euro, jeszcze raz zastanów się, czy warto – (hm!) przynajmniej do czasu, kiedy Unia Europejska nie zacznie, zgodnie z teorią MMT, korzystać z zalet swojej suwerennej waluty.

ANNA GRODZKA

SŁOWO CZERWONE

Będą zabierać

Komentariat w służbie elit

Serwis money.pl zamieścił tekst nawołujący do zmniejszenia wydatków socjalnych poprzez odebranie pomocy osobom, które nie są najbiedniejsze. Czyli mają dochody większe niż – mówiąc językiem statystyki – pierwszy i drugi decyl dochodowy; 20 proc. najniżej zarabiających. Te 20 proc., mimo transferów socjalnych, pożycza u lichwiarzy na życie. Ale w tekście za klasę średnią uznaje się osoby, które zarabiają odrobinę więcej – od trzeciego decyla. Aż do ósmego.

Autorzy opracowania sugerują, żeby pieniądze uzyskane z cięcia socjalu – czyli dostępu do takich świadczeń jak 800 plus, 13. i 14. emerytura, dodatek pielęgnacyjny – przeznaczyć na zbrojenia i zatkać deficyty w służbie zdrowia, nauce itp. Przy obecnych planach zbrojeniowych gros tych środków odebranych obywatelom uznawanym przez autorów za klasę średnią, zostanie wykorzystane na zakup broni, głównie z USA.

Ostatnio we Francji parlament głosował nad budżetem, w którym te zalecenia są spełnione. Zwiększeniu wydatków zbrojeniowych z 2 proc. do 5 proc. PKB towarzyszyć miały ostre cięcia wydatków socjalnych. Za takim budżetem zagłosował tylko jeden poseł. 404 było przeciw; 84 się wstrzymało.

Zacząć by wypadało od tego, czy rzeczywiście większość Polaków należy do klasy średniej – skoro mało kto ma oszczędności pozwalające przeżyć bez pracy więcej niż pół roku. Co trzeciemu Polakowi oszczędności pozwalają na przeżycie co najwyżej miesiąca.

Aż połowa pracowników zarabia mniej niż 4645 na rękę, czyli zaledwie 1100 ponad minimalną. A jest jeszcze 2,5 mln pracujących na umowach innych niż o pracę, którzy zwykle zarabiają jeszcze mniej.

Z badań Thomasa Piketty’ego, który monitoruje nierówności na świecie, wynika, że Polska jest krajem o najwyższym w UE poziomie nierówności.

Większość Polaków żyje na chwilówkach albo na styk i wyjęcie im z portfeli pieniędzy z transferów socjalnych oznacza wepchnięcie dużej części z nich w łapy lichwiarzy.

Według danych GUS przeciętne wynagrodzenie w podmiotach zatrudniających do dziewięciu osób jest o 37 proc. niższe niż w podmiotach z wyższym zatrudnieniem. Firmy do dziewięciu pracowników – zwane mikroprzedsiębiorstwami – zatrudniają 4,5 mln osób.

Zwolennicy drenażu naszych kieszeni twierdzą, że pomoc powinna być adresowana do najuboższych. Zgoda: najubożsi gwałtownie jej potrzebują, zasiłki z pomocy społecznej są żałośnie niskie i mało kto może się o nie doprosić, bo nie można mieć na życie więcej niż 823 zł (chyba że ktoś jest samotny – to wtedy aż 1010 zł). Ale środki na zasiłki nie powinny pochodzić z zabierania biednym, żeby dać jeszcze biedniejszym, tylko z wprowadzenia zasady, że im wyższy dochód, tym większy podatek – a głównie z opodatkowania najbogatszych i wielkich koncernów.

Autorzy opracowania money.pl słusznie zauważają, że mamy jedne z najniższych podatków w Europie. Więc jest przestrzeń do ich zwiększania. 10 proc. najbogatszych Polaków zgromadziło 60 proc. bogactwa narodowego właśnie dlatego, że nie istnieją daniny takie jak podatek od wielkich spadków, podatek majątkowy czy wysoki próg podatkowy dla wielkich dochodów.

Autorzy tekstu zauważają, że mimo rosnących płac nie rosną oszczędności. Jeżeli do tego dodamy, że wciąż błyskawicznie rosną zyski banków, to złożona przez rząd propozycja opodatkowania tego sektora jest krokiem w dobrym kierunku.

13. i 14. emerytura została wprowadzona po to, by ominąć wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który zakazywał waloryzacji kwotowej emerytur. A waloryzacja procentowa polegała na tym, że aby biednym emerytom podwyższyć świadczenie o 100 zł, trzeba było bogatym podnieść o parę tysięcy. Trzynastki i czternastki pomogły naprawić tę niesprawiedliwość. A trzeba zauważyć, że emeryci należą do grupy z najmniejszymi oszczędnościami. Więc większość z nich do klasy średniej się nie zalicza i zabieranie im czegokolwiek nie ma sensu. I nie ma się też co martwić, że bogaci przejedzą 800 plus na waciki, bo bogatych jest w Polsce bardzo mało.

Takie teksty, jak ten w money.pl, są zwykle pisane na zamówienie władzy, a władza ta reprezentuje elitę finansową kraju. Która zawsze jest pełna pomysłów, jak uniknąć płacenia wyższych podatków i zwalić ten obowiązek na niżej uposażonych. W całym tekście pomysł wyższego opodatkowania tych, którzy mają duże nadwyżki, się nie pojawia. I tak będzie, dopóki w parlamencie zasiadać będą prawie wyłącznie bogaci – albo ich reprezentanci. Siła nabywcza pensji poselskiej przez ostatnie 25 lat bardzo bowiem spadła, stąd łatwiej o w sejmie o chudopachołków gotowych bronić zawartości grubo napchanego portfela jak niepodległości ojczyzny.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl a1d53bfa81

Kosztowny trup

Gdyby ktoś nie wiedział, to Izera jest ciągle w grze

Jeszcze kilka lat temu był to sztandarowy projekt polskiego państwa. Pokazówka nowoczesności, przykład gospodarczej ambicji i przemysłowej niezależności. Dziś – wirtualna montownia, kosztowny miraż, który z każdym kolejnym rokiem coraz wyraźniej przypomina chińską układankę włożoną do polskiego kartonu. Historia Izery to nie tylko zapis nieudolności. To lustro, w którym odbijają się złudzenia polityków, bezradność urzędników i rosnące koszty narodowych fantazji.

Milion widzę...

Zaczęło się od obietnicy, że Polska będzie miała swój samochód elektryczny. Na papierze wyglądało to imponująco – rząd, spółki energetyczne, eksperci i wizjonerzy łączą siły, by w kilka lat zbudować od zera nowoczesną markę motoryzacyjną. Tymczasem od początku brakowało jednego – pomysłu, jak to zrobić.

Morawiecki w 2016 r. mówił o milionie elektryków na polskich drogach do 2025 r. Podkreślał, że będą to samochody produkowane w Polsce, przez polską spółkę, z polskim wkładem technologicznym. Założono Electromobility Poland, spółkę córkę czterech państwowych gigantów energetycznych: PGE, Energi, Enei i Tauronu. Początkowy kapitał wynosił 10 mln zł, ale szybko zaczęto go zwiększać. Najpierw o kolejne 20 mln, potem o 40 mln, następnie setki milionów złotych z funduszy de facto publicznych.

EMP, choć nie miała linii produkcyjnej ani gotowego projektu, zatrudniała setki osób. Zarządy się zmieniały, w fotelach prezesów przewijali się Krzysztof Krawczyk, Maciej Kość, Piotr Zaremba, Paweł Poneta, Piotr Regulski, a potem znów Poneta i na koniec Tomasz Kędzierski. Każdy z nich miał nową koncepcję i nowy zespół. Żaden nie doprowadził projektu do fazy realizacji. W EMP powstawały działy PR, marketingu, administracji i komunikacji. Co dokładnie robili zatrudnieni tam specjaliści – nie wiadomo. Poza tym, że planowali, omawiali, konsultowali i ogłaszali nowe wizje.

Konkursy na projekt nadwozia i wnętrza ogłaszano z pompą. Prototypy miały być gotowe w 2018 r., fabryka w Jaworznie – w 2021 r. Produkcja miała ruszyć w 2023 r. Każdy termin przesuwano, każdy harmonogram kończył się deklaracją, że trzeba poczekać jeszcze trochę. W tym czasie EMP wydała ponad pół miliarda złotych – głównie na pensje, ekspertyzy i koncepcje. Nie wyprodukowano ani jednego auta.

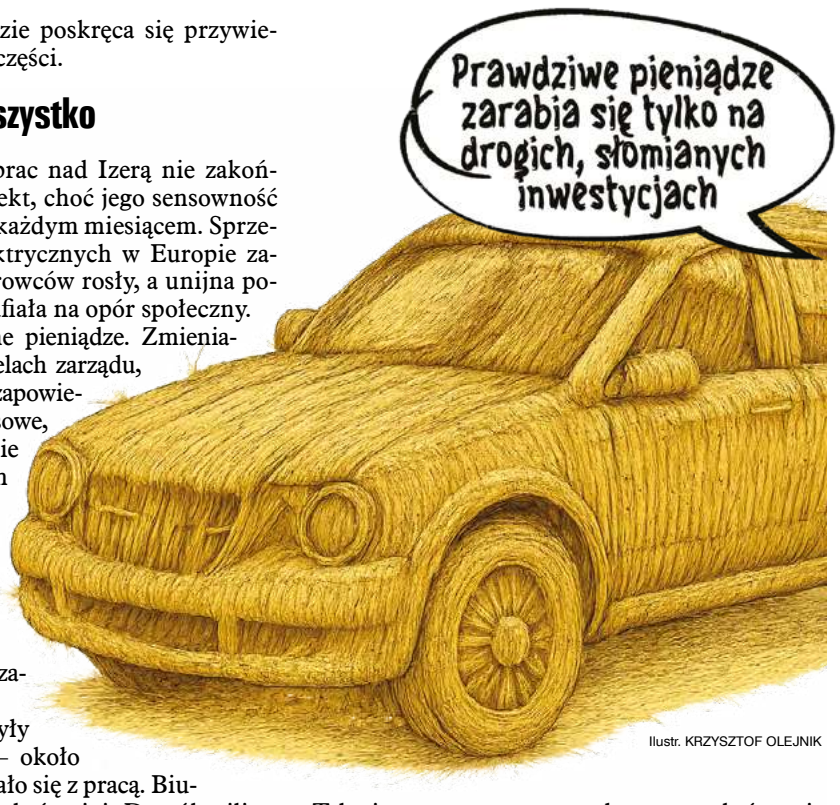
Ale Morawiecki konsekwentnie promował projekt jako symbol rozwoju. W telewizji pokazywano obrazki samochodów, które miały konkurować z Teslą. Organizowano konferencje, podpisywano listy intencyjne, a w kampaniach wyborczych Izera stała się jednym z filarów opowieści o Polsce nowoczesnej, zdolnej i dumnej.

Tymczasem o technologie starano się za granicą. Kształt karoserii zlecono włoskiej pracowni Torino Design, mającej doświadczenie głównie z tanimi markami azjatyckimi. Platformę dostarczyć miało chińskie Geely. Polska miała być jedynie miejscem, gdzie poskręca się przywiezione w kontenerach części.

KPO dobre na wszystko

Po zmianie rządu prac nad Izerą nie zakończono. Ciągnięto projekt, choć jego sensowność gospodarcza malała z każdym miesiącem. Sprzedaż samochodów elektrycznych w Europie zaczęła spadać, ceny surowców rosły, a unijna polityka klimatyczna trafiała na opór społeczny.

EMP zżerała kolejne pieniądze. Zmieniały się nazwiska na fotelach zarządu, pojawiały się nowe zapowiedzi i konferencje prasowe, lecz nic realnego się nie działo. Według danych ze sprawozdań finansowych tylko w roku 2024 ElectroMobility Poland wypracowała stratę ponad 274 mln zł. A wszystko to przy zatrudnieniu przekraczającym 100 osób.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W roku 2025 ruszyły zwolnienia grupowe – około 40 proc. kadry pożegnało się z pracą. Biura działały dalej. Zarząd również. Do pół miliarda złotych, które w Izerze utopił rząd PiS, doszło 300 mln wydane przy nowej władzy. W czasie, gdy projekt miał być poddany weryfikacji. Nie był. Utrzymywany jest przy życiu, bo na decyzję o odłączeniu zabrakło odwagi.

Jaworzno, gdzie miała powstać fabryka, wydało na infrastrukturę ponad 320 mln zł. Wszystko po to, aby zbudować infrastrukturę do niczego. Kanalizacja, drogi, przyłącza – wszystko gotowe. Tylko fabryki brak. Władze lokalne tłumaczą, że nie mogą przecież wiedzieć, co zrobi spółka, której działaniom patronuje państwo.

Izera nie powstanie z Geely – to już pewne. Chiński właściciel Volvo, przez lata uznawany za kluczowego partnera technologicznego, stracił cierpliwość. Oficjalnie wciąż prowadzi rozmowy, ale nieoficjalnie – spakował zabawki. Miał dość opóźnień, miał dość braku decyzji, miał dość partnera, który nie miał nic poza obrazkami w PowerPoincie.

Balsamowanie truchła

W odpowiedzi na chińskie fochy EMP ogłosiła, że już ma nowych chętnych. Też z Chin. Tyle że tym razem są to koncerny, które nie mają ani technologii, ani pozycji na rynku elektryków, ani nawet czystego sumienia. Bo Chery, jeden z potencjalnych nowych partnerów EMP, nie tylko nie wycofał się z Rosji po inwazji, ale wręcz zwiększył tam sprzedaż i korzystał z zakładów po Volkswagenie i Mercedesie.

To z Chery ma powstać nowa Izera. Może hybrydowa. Może kiedyś elektryczna. Ale raczej – nigdy. Bo nawet jeśli ktoś jeszcze wierzy w ten projekt, to z pewnością nie są to Chińczycy, którzy wolą otwierać fabryki w Hiszpanii, gdzie przepisy są przewidywalne, a premier głosuje w Brukseli za cłami na chińskie samochody elektryczne.

Dziś jesteśmy więc w kolejnej odsłonie polskiej komedii urzędniczo-politycznej. EMP zgłasza się po 4,5 mld zł z Krajowego Planu Odbudowy. Rząd mówi, że popiera. Fundusz Ochrony Środowiska odpowiada, że jeszcze nie wybrał doradcy prawnego, więc nawet nie wiadomo, kiedy pieniądze zostaną uruchomione. Komisja Europejska słyszy, że prosimy o więcej czasu.

Czasu na co? Na podpisanie umowy z nieistniejącym partnerem? Na aneksowanie pożyczki, która miała być na działkę pod nieistniejącą fabrykę? Na przedstawienie „lokalnego łańcucha dostaw", który sprowadza się do przewożenia podzespołów z portu w Gdyni do Jaworzna?

Ale z EMP płyną komunikaty, że wszystko idzie zgodnie z planem. Że nie ma opóźnień. Że to tylko „korekta harmonogramu". Choć wszyscy wiedzą, że harmonogramy w tej spółce mają status mityczny – są święte, niewidzialne i niepodważalne. Jak święte krowy. Które się karmi, karmi i karmi. Izera to nie start-up. To nie jest nawet wydmuszka.

To państwowe eldorado, gdzie za pieniądze podatnika można latami snuć opowieści o samochodzie, który nigdy nie powstanie. I nikt za to nie odpowiada. Nikt nie mówi dość. Nikt nie ciągnie za hamulec. Może dlatego, że odpowiedzialnych jest za dużo. Może dlatego, że wszyscy są umoczeni.

Może dlatego, że nie ma w Polsce niezależnej prokuratury, która zebrałaby dokumenty, przesłuchała zarząd za zarządem i zapełniła cele ludźmi, którzy przez lata żyli z nieistniejącej produkcji.

Bo nawet najdroższa makieta w historii ma jakiś kres. Nawet najdłużej balsamowany trup zaczyna w końcu cuchnąć na tyle, że trzeba go zakopać. Ale w Polsce – jak widać – łatwiej pogodzić się z tym, że jesteśmy obiektem kpin, niż przyznać, że nie ma żadnej Izery. Jest tylko konto w banku i rząd, który nie umie powiedzieć prawdy.

Można było to wszystko przeciąć. Zamknąć spółkę. Sprzedać działkę. Oddać pieniądze, które zostały. Sprowadzić do Jaworzna prawdziwego inwestora, który postawi tam jakąś fabrykę, da ludziom pracę, państwu – podatki, a światu – spokój. Ale nie. Lepiej jeszcze trochę poudawać, że trup się rusza. Że może coś się uda.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

Rys. MIROSŁAW HAJNOS



● Jak państwowy kolos mówi, że jest dobrze, to musi być dobrze. Bo kto, jak nie PZU, ma wiedzieć, w jakiej formie jest polska gospodarka? Zwłaszcza że PZU, będąc własnością państwa, wie dokładnie to, co państwo chciałoby, żebyśmy wiedzieli. Analitycy zakładu obwieścili właśnie, że „realne tempo wzrostu PKB wzrosło w trzecim kwartale br. do 3,7 proc. rok do roku z 3,3 proc. w drugim kwartale". Główną lokomotywą tego cudu jest „konsumpcja prywatna". Eksperci z PZU nie kryją radości, bo „produkcja we wrześniu wzrosła o 7,4 proc., podczas gdy rynek oczekiwał 4,6 proc.". Nawet wskaźnik PMI, ekonomiczny barometr nastrojów, który od lat wieszczył depresję, „systematycznie się poprawia". Słowem – wychodzimy z marazmu, a może nawet z recesji, choć jeszcze nikt nie wie, gdzie ta recesja się zaczynała. Nie tylko przemysł świętuje. W budownictwie „produkcja budowlano-montażowa wzrosła o 0,2 proc." Sklepy przeżywają oblężenie – sprzedaż „we wrześniu przyspieszyła do 6,4 proc.". Prym wiodą odzież, meble, sprzęt RTV, AGD i samochody. Nawet paliwo ludzie kupują z rozmachem. A skoro mamy tyle pieniędzy na wydatki, to – zdaniem ekspertów – „utrzymujący się ożywiony popyt na dobra trwałego użytku świadczy o dobrej kondycji polskich konsumentów". I jak tu się nie cieszyć? Zwłaszcza że inflacja spuszcza z tonu. PZU wskazuje, że „ceny towarów i usług wzrosły w październiku tylko o 2,8 proc.", czyli mniej, niż chcieli prorocy z GUS i banków. A żywność, ten tradycyjny motor inflacji, zdrożała ledwie o 3,4 proc. Analitycy z dumą dodają, że „inflacja bazowa spadła do około 3 proc., najniżej od końca 2019 r.". To tak, jakby powiedzieć, że po kilku latach wspinaczki w górę wreszcie zeszliśmy na poziom, na którym można oddychać. Teraz, jak zapowiadają, „utrzymanie inflacji w dopuszczalnym przedziale wahań celu NBP może otworzyć drogę do dalszego luzowania polityki pieniężnej". Czyli będzie można znowu taniej pożyczać pieniądze, żeby kupować więcej rzeczy, które dowiodą, że gospodarka kwitnie.

● A kwitnie, bo jak radośnie donosi OECD, przeciętne polskie płace wzrosły z 45 do 72 proc. średniej OECD, licząc według parytetu siły nabywczej. Włosi i Hiszpanie już czują oddech znad Wisły na karku. Według tych danych w 1995 r. Polak zarabiał równowartość 21 256 dolarów rocznie, a dziś – 44 211. Brytyjczycy w tym czasie podnieśli się tylko o 40 proc., a Włosi i Hiszpanie stanęli w miejscu – 3 i 5 proc. więcej przez trzy dekady. Polskie zarobki to już 86,7 proc. włoskich i 81 proc. hiszpańskich wynagrodzeń. A do Wielkiej Brytanii brakuje zaledwie 30 proc. Żeby docenić ten skok, warto przypomnieć, że w 1990 r. średnia pensja wynosiła 1,03 mln zł, czyli 103 zł po denominacji, a inflacja sięgała 585 proc. Dziś te same 103 zł nie wystarczą nawet na trzy bilety do kina. Zasługi za ten sukces rządowe media dzielą sprawiedliwie – między historię, patriotyzm i płacę minimalną. Od 2015 r. ta ostatnia urosła z 1750 do 4300 zł, co – jak wskazują analitycy – „wpływa bezpośrednio na dynamikę wzrostu wynagrodzeń w gospodarce". W 2004 r., gdy wchodziliśmy do Unii, nasze płace sięgały zaledwie 48 proc. średniej OECD. Unia zresztą też swoje dorzuciła. 245,5 mld euro dotacji, z czego 161,6 mld na czysto. Dzięki temu polski PKB się podwoił, a inwestycje zagraniczne wzrosły z 67 do 360 mld euro. Do tego wszystkiego produktywność pracy wzrosła o 9,6 proc., podczas gdy Niemcy ugrzęźli na 0,7 proc., a Francuzi się cofnęli. Czyli pracujemy szybciej, lepiej i taniej.

● O ile oczywiście pracujemy. Kiedyś, jak ktoś tracił pracę, to mówiło się, że firma tnie koszty. Dziś wystarczy, że państwo zmieni rubrykę w Excelu i już nie ma problemu. Bo według oficjalnej wersji bezrobocie nie rośnie, tylko się „poszerza definicyjnie". A że stopa bezrobocia wzrosła z 5 do 5,6 proc., to przecież szczegół. „To nie jest moment, by bić na alarm" – uspokaja ekspert z Polskiego Instytutu Ekonomicznego. I dodaje, że bezrobocie i inflacja to takie czarne wołgi, którymi łatwo nastraszyć Polaków. Rząd i zaprzyjaźnieni ekonomiści zgodnie tłumaczą, że cały ten wzrost to efekt zmian regulacyjnych. Po prostu od czerwca rolnicy też mogą być bezrobotni, a urzędy zaczęły liczyć ludzi według miejsca zamieszkania, a nie zameldowania. Jak więc wyliczyli analitycy z Pekao, w czerwcu przybyło 30 tys. bezrobotnych, w lipcu – 25 tys., w sierpniu – 20 tys., a we wrześniu – jeszcze 15 tys. Rzeczywistość, jak to ma w zwyczaju, znowu nie nadąża za narracją. Bo w tym samym czasie GUS policzył, że liczba osób pracujących spadła o 120 tys. I to jeszcze przed wejściem w życie nowego prawa. Największe spadki notuje się w przemyśle, handlu i usługach, czyli tam, gdzie ludzie rzeczywiście jeszcze coś robią. W kategoriach wiekowych najbardziej oberwali ci przed trzydziestką. Ale spokojnie, rząd zapewnia, że wszystko jest pod kontrolą, a procesy są monitorowane. W MRPiPS jest cały departament, który codziennie monitoruje i dochodzi do wniosku, że gwałtownego wzrostu bezrobocia nie widać. Jeśli tak dalej pójdzie, to w przyszłym roku rząd ogłosi, że bezrobocie spadło do zera, bo wprowadzono nową kategorię: „obywatel w okresie przejściowej reorientacji zawodowej".

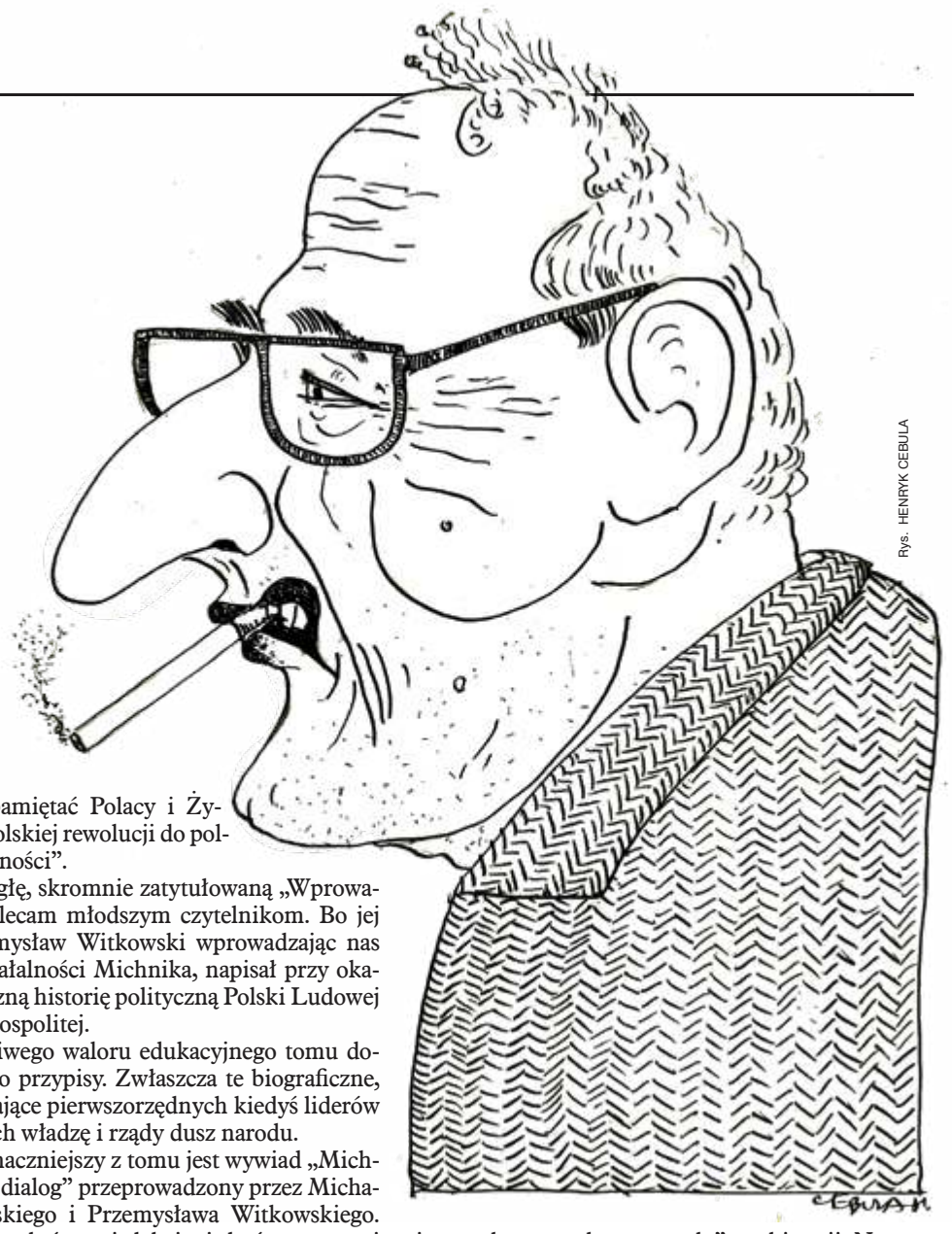
● A według zwalniających ludzi firm to nie zwolnienia, lecz „restrukturyzacja zatrudnienia w celu zwiększenia elastyczności organizacyjnej". Na przykład taki Black Red White – meblowy gigant z Biłgoraja – właśnie „dostosowuje się". Z końcem roku pracę straci 800 osób, czyli niemal co trzecia para rąk w fabryce. Oficjalnie – modernizacja, restrukturyzacja i likwidacja wybranych jednostek. Ale spokojnie, nowy właściciel na pewno „widzi potencjał synergii". Austriacki koncern XXXLutz, który jeszcze niedawno przejął BRW, już się wycofał z inwestycji, bo uznał, że klimat biznesowy w Polsce jest – delikatnie mówiąc – mało przytulny. Teraz czeka na decyzję UOKiK przedsiębiorca Dariusz Formela, który „nie po to przejął firmę, żeby ją zamykać". Nie lepiej dzieje się u drugiego meblowego kolosa – Ikea Industry Poland. W Goleniowie, Resku i Wielbarku firma pożegnała się z 285 pracownikami. W korpobełkocie brzmi to lepiej: „spółka przeprowadziła proces dopasowania poziomu zatrudnienia do aktualnego popytu". Największe cięcia – 165 etatów – w Goleniowie. Ale żeby nie było za ponuro, zarząd dodaje, że „mimo optymalizacji zatrudnienia firma inwestuje w nowoczesność". W 2024 r. wydała 352 mln zł na rozwój fabryk, w tym 57 mln na nową halę w Zbąszynku i 47 mln na farmę fotowoltaiczną. Na południu kraju też „trudne decyzje". W Rabce Zdroju Blachotrapez, dawny dumny sponsor skoczków, teraz zwalnia grupowo. W PUP w Nowym Targu zarejestrowano co najmniej 70 osób do zwolnienia, choć pracownicy mówią, że raczej około 200. Prezes tłumaczy: „Decyzja była trudna, ale konieczna. Stoimy przed ważnym momentem w historii firmy". Czyli nie bankructwo, tylko „moment w historii". Zagraniczni giganci – ci, którzy mieli w Polsce budować fabryki, magazyny i huby technologiczne – coraz częściej mówią: „dziękujemy, wrócimy, jak się uspokoi". Kolejne koncerny „redefiniują strategię inwestycyjną", co w praktyce znaczy: uciekają, zanim zdążą wbić łopatę. W efekcie tysiące ludzi w całym kraju słyszą to samo zdanie: „Nie jest to zwolnienie, lecz zmiana kierunku rozwoju organizacji". Jedni dowiadują się o tym z maila, inni z listy w dziale HR, a jeszcze inni – z „Nowej Gazety Biłgorajskiej". Ale oficjalna linia jest jasna: bezrobocia nie ma, jest tylko „zmiana struktury rynku pracy". A więc głowa do góry! Wylatując z roboty, „współtworzysz proces dostosowania".

TTJ

eprasa.pl a1d53bfa81

„Już wiem, że jestem wszystkiemu winien”

Spowiedź trutnia obywatelskiego



Rys. HENRYK CEBULA

Miał wiele politycznych twarzy. Własnych i doprawianych mu.

Zaczynał wśród komunistycznych harcerzy Hufca Walterowskiego prowadzonego przez Jacka Kuronia. Po jego likwidacji młody, zdolny Adaś wraz z kolegami z inteligenckich domów organizował kluby i dyskusje o naprawie socjalizmu. Pierwszą sławę i „rozpoznawalność” zdobył po marcu ’68. Wtedy Michnikowi i jego kolegom reżimowa propaganda dorobiła gęby bananowej młodzieży. Młodszym Czytelnikom trzeba przypomnieć, że wtedy, w gospodarce rynkowego niedoboru, banan był symbolem zbytkownego luksusu. Jak świąteczne cytrusy, oliwa z oliwek, aromatyczny tytoń fajkowy.

W 1969 r. „bananowy” Michnik dostał wyrok więzienia, ale złagodzony amnestią. Zakaz kontynuowania studiów i nakaz resocjalizacji na stanowisku spawacza w zakładach im. Róży Luksemburg. Dzięki temu poznał robotników. Jako jeden z nielicznych opozycjonistów PRL-u. Początek gierkowskiej dekady to kolejna liberalizacja systemu. Michnik może kończyć studia i znowu wyjechać na Zachód. Tam ukazała się jego książka „Kościół, lewica, dialog”. Tam też miał zostać zabity w efekcie operacji „Truteń” organizowanej w Hamburgu przez polskich „czekistów”. Ci jednak, jak to rodacy – Polacy, aby się odstresować, poszli w rejs po tamtejszych burdelach. Kiedy dopłynęli, Michnik opuścił już Hamburg.

Do kraju wrócił w 1977 r., zasilił istniejący od niedawna Komitet Obrony Robotników. Stał się jego twarzą. Najsłynniejszą w reżimowej propagandzie, wraz z Jackiem Kuroniem, wrogiem ustroju. Umarł bananowy truteń, narodził się groźny dla państwa i systemu „KORnik”. Nękany regularnymi aresztami, kilkakrotnie pobity.

Po robotniczych strajkach w 1980 r. kornik Michnik został doradcą Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Powiernikiem prymasa Wyszyńskiego i papieża Jana Pawła II.

Dzieje przyśpieszyły. W czasie stanu wojennego, w 1982 r. i potem, Michnik był oskarżony o próbę obalenia ustroju socjalistycznego siłą. Internowany i więziony przez ekipę generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka.

W końcówce lat 80. wraz z generałami Jaruzelskim i Kiszczakiem, i ich ekipą skutecznie obalili ustrój socjalistyczny. Bezkrwawo.

Był potem posłem sejmu zwanego „kontraktowym”. Współorganizował „Gazetę Wyborczą”, która rozwaliła peerelowską cenzurę i szybko zmonopolizowała debaty publiczne. Rozstrzygała, komu w polityce wolno więcej, a komu mniej. Za to została znienawidzona przez inne, konkurencyjne media.

Michnik promował skutecznie Tadeusza Mazowieckiego na premiera i nieskutecznie na prezydenta. W 2002 r. ujawnił korupcyjną propozycję złożoną mu przez Lwa Rywina. Nie przyjął jej, ale coraz liczniejsze wrogie mu media sączyły, że niewiniątkiem też nie jest. Bo skoro Rywin z łapówką do „Gazety” przyszedł, to coś jest na rzeczy.

Wcześniej skutecznie przyjął katolicką wiarę, ochrzcił syna w kościele świętej Brygidy w Gdańsku, gdzie proboszczem był Henryk Jankowski.

Pogodził się z generałem Kiszczakiem, zaprzyjaźnił z generałem Jaruzelskim. Wspierał Aleksandra Kwaśniewskiego, zwalczał Jarosława Kaczyńskiego. Został tytularnym dożywotnim redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej” redagowanej dziś przez pokolenie jego wnuków.

Dobiega osiemdziesiątki, ale umysł ma sprawny, pamięć słoniową. O czym niedawno też się przekonałem.

I życiorys na wieloodcinkowy serial.

Spowiedź

Chwała dwóm lewicowym intelektualistom, Michałowi Siermińskiemu i Przemysławowi Witkowskiemu z Instytutu Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza! Za opasły tom „Obywatel Michnik. Myśl polityczna Adama Michnika”.

Składający się z trzech cegieł. Antologii politycznych publicystycznych tekstów Adama Michnika. Znanych zwykle z tytułów, streszczeń, ale w całości trudno dostępnych. Jak choćby słynny „List do Generała Kiszczaka”.

I tych mniej znanych, a wartych przypominania, jak choćby „Zyrinowski, moja miłość”, „O czym nie lubią pamiętać Polacy i Żydzi”, „Od polskiej rewolucji do polskiej gościnności”.

Drugą cegłę, skromnie zatytułowaną „Wprowadzenie”, polecam młodszym czytelnikom. Bo jej autor Przemysław Witkowski wprowadzając nas w czasy działalności Michnika, napisał przy okazji syntetyczną historię polityczną Polski Ludowej i III Rzeczpospolitej.

Niewątpliwego waloru edukacyjnego tomu dopełniają jego przypisy. Zwłaszcza te biograficzne, przypominające pierwszorzędnych kiedyś liderów trzymających władzę i rządy dusz narodu.

Ale najsmaczniejszy z tomu jest wywiad „Michnik, lewica, dialog” przeprowadzony przez Michała Siermińskiego i Przemysława Witkowskiego. Dziennikarzy, którzy nie lękają się być partnerami intelektualnymi Michnika, nie wstydzą ujawnić swych lewicowych poglądów.

Dziś podobne wywiady można znaleźć jeszcze w miesięczniku „Zdanie”, w tygodniku „Przegląd”.

Wywiadowany przez nich Adam Michnik na wstępie stawia warunek, aby rozmowa była przede wszystkim o jego tekstach. Na szczęście jego polityczny temperament bierze górę. I dostajemy spowiedź polityczną Adama Michnika zamiast rozprawki, co autor miał wtedy na myśli.

Spowiedź, która zaskakuje jego spowiedników i jej czytelników. Zdumiewa – jak choćby znanego publicystę Filipa Memchesa z tygodnika „Do Rzeczy”.

Temu ideowemu prawakowi nie mieści się w głowie, że ten Michnik może być oponentem wobec młodszych od niego lewicowców.

Kiedy nie potępia w czambuł myśli politycznej Romana Dmowskiego; przeciwnie – deklaruje, że są „karty godne namysłu” w historii Narodowej Demokracji. „Trudno dziś nie podziwiać przenikliwości publicystycznej Dmowskiego czy Popławskiego” – mówi Michnik. „Nikt tak odważnie nie umiał się rozprawić ze złudzeniami, z samookłamywaniem się, z rachubami na bezinteresowną pomoc Europy – tak dworskiej, jak plebejskiej – z naiwną wiarą, że hasło »Za naszą i waszą wolność« może zastąpić myśl polityczną, z równie naiwnym przekonaniem, że młode nacjonalizmy państw na terytorium etnicznie mieszanym mogą nie być wzajemnie konfliktogenne”…

Ale największe zdumienia współczesnych prawaków i lewaków budzą deklaracje Michnika katolika. Kiedy broni przed lewacką krytyką kardynała Wyszyńskiego, papieża Jana Pawła II. Kiedy nie chce potępić księdza Henryka Jankowskiego. Kiedy marginalizuje katolicki zakaz aborcji, bo uważa aborcję za niemoralną. Krytykowany za ten klerykalizm, cierpliwie odpowiada:

„Ale ja już wiem, że jestem wszystkiemu winien, już się tego nauczyłem”…

Nasz niczyj

Dziś dla wielu Żydów katolik Michnik jest zdrajcą, bo wyrzekł się tradycji i jeszcze został intelektualnym Polakiem. Dla wielu prawdziwych polskich katolików Michnik jest jedynie przechrztą i byłym żydkiem. Podobnie dla wielu prawdziwych genetycznie Polaków.

Dla wielu postkomuchów Michnik jest byłym solidaruchem. Dla wielu solidaruchów byłym komunistą i kumplem Jaruzela. Dla wielu młodszych prawaków redaktor Michnik to gość, który stworzył „Gazetę Wyborczą” – potwora, który deprawuje Polaków. Dla wielu młodszych lewaków taka kościółkowość Michnika, to jego „ukąszenie katolickie” hamowały walkę o prawa polskich kobiet, ruchy feministyczne.

Dla wielu młodszych polityków i publicystów Michnik jest jedynie dziadersem. Reliktem minionych epok.

Kiedy Jerzy Urban umarł, Adam Michnik przyszedł na jego pogrzeb.

Media rzuciły się na niego z pytaniem: „Dlaczego przyszedł na pogrzeb tego Urbana?”. Odpowiedział, jak kiedyś Antoni Słomiński, pytany przez ubeków, dlaczego przyszedł na pogrzeb Henryka Hollanda. W obu przypadkach odpowiedź brzmiała: „Bo umarł”.

Z Adamem Michnikiem poznał mnie Jerzy Urban. Bardzo lubię Michnika, bo śmieszą nas te same anegdoty. Zwykle przez niego opowiadane.

Życzę mu aż tak długiego życia, żeby w czasie jego pogrzebu już żaden kutas nie pytał żałobników: „Dlaczego przyszli na pogrzeb tego Michnika?”

PIOTR GADZINOWSKI

Michał Sierminski, Przemysław Witkowski, „Obywatel Michnik. Myśl polityczna Adama Michnika”, Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2025.

Braci się traci

Prawicowa odpowiedź na „NIE”

To najbardziej spektakularne rozstanie bliźniaków na polskiej prawicy od czasów katastrofy smoleńskiej: swoimi drogami poszli bracia Karnowscy. Do niedawna nierozłączni i nieodróżnialni, poróżnili się – oficjalnie o wizję mediów, a nieoficjalnie o to, co wiadomo, kiedy nie wiadomo, o co chodzi.

Brat Michał wystartował z nowym projektem: skromnym kanałem na YouTubie, który w porównaniu z opuszczonym przez niego okrętem jawi się jak łódeczka. Nie wspominając o tym, że imperium medialne zbudowane przez braci Karnowskich blado wypada przy tym, co stworzył Sakiewicz – z Republiką na czele. Prawica mnoży się przez podział, także medialnie, ale nie dla każdego wystarczy tortu. Rozstanie tandemu Karnowskich może zrównoważyć chyba tylko pojednanie braci Kurskich.

Jacek i Michał Karnowscy to podwójna twarz pisowskiej propagandy. Od 15 lat wspólnie orzą medialne poletko, wyszarpując żądnego prawicowej sensacji odbiorcę z rąk rozrastającej się konkurencji. Po Smoleńsku pisowskie media wyrosły jak grzyby po deszczu – poszły w świat z zadaniem przeciwstawienia się narracji głównego nurtu i pokazania Polski z perspektywy Kaczyńskiego. Tenże uważa, że nie ma niezależnych mediów, więc trzeba mieć zależne od siebie i skąpić im grosza; podobnie jednak, jak w przypadku frakcji w partii, wychodzi z założenia, że nie może to być jedno medium, bo prędzej czy później ogon zacznie merdać psem. Co się poniekąd teraz dzieje w przypadku Sakiewicza, który chce rządzić PiS-em.

Nisza szybko się wypełniła: odrzuceni w mediach liberalnych ambitni, zdolni i sfrustrowani poszli do Kaczora. Początkowo ignorowani i wyśmiewani (to im zostało do dziś), w czasach rosnącego w siłę internetu awansowali do pozycji docenianych buntowników wobec propagandy „Wyborczej” i TVN-u. Aż po wyborach w 2015 r. sami stali się głównym nurtem – a ich miejsce w niszy zajęli konfederaci i jeszcze bardziej prawi, pisowców uważający za łże-prawicę.

W TVP Kurskiego Karnowscy niemalże zamieszkali. Tam czuli się na swoim miejscu: salon jest ich przeznaczeniem, zabawy w szkolną gazetkę to za niskie progi. Jednocześnie nadal prowadzili swoje media, czyli portal wpolityce.pl, tygodnik „Sieci”, miesięcznik „Gazeta Bankowa” oraz internetową telewizję wPolsce24. W Kurwizji bracia robili za ekspertów, a TVPiS wiedzę ekspercką wynagradzała.

Na wniosek posła Krzysztofa Brejzy TVP udostępniła informację publiczną, z której wynika, że na Woronicza istniał system wynagradzania komentatorów – i to zarówno występujących w studiu, jak i zdalnie. Michał Karnowski zareagował gwałtownie, stwierdzając, że jedyne pieniądze, które otrzymywał z TVP, to te za prowadzony przez niego program publicystyczny.

Rządy PiS stały się dla bliźniaków finansowym eldorado. Cały czas mieli też swoje media, obficie sponsorowane przez spółki skarbu państwa. Przez siedem lat „dobrej zmiany” sam tylko tygodnik „Sieci” zarobił 142 mln zł na reklamach państwowych firm. Po zmianie władzy urwały się zarówno kontrakty z telewizją, jak i wyschło publiczne źródełko. Bracia stali się znowu „dziennikarzami wyklętymi”. Największe gwiazdy Kurwizji poszły do Republiki. Telewizja Sakiewicza ma bardziej znanych i wyrazistych prowadzących, kanał Karnowskich nie przebił się do świadomości wielbicieli Holeckiej, Rachonia i Kłeczka.

Media braci Karnowskich zrzeszone są w spółce Fratria. I z tejże spółki został we wrześniu zwolniony, w dodatku dyscyplinarnie, Michał Karnowski. Zdradzony brat tłumaczył to na YouTubie. „W pewnym momencie powiedziałem, że chcę odejść, jeśli ktoś tak wywala rok tej pracy i mówi, że musimy robić wszystko inaczej. Inne oferty jakoś nie zostały wyraźnie złożone” – skarżył się. Chciał kontynuować współpracę, ale „na początku to zostało przyjęte, a potem nagle odrzucono. Oni wtedy mówią: »Nie, nie, nie możesz odejść. Jak ty chcesz odejść, to my ci dyscyplinarkę«”.

Michał Karnowski zapowiada, że sprawa będzie miała finał w sądzie. Po opuszczeniu Fratrii założył na YouTubie kanał „TAK”, gdzie komentuje bieżące sprawy z Marcinem Tulickim i Michałem Adamczykiem – wszyscy trzej wykopani z telewizji wPolsce24. Spółkę nazwali Trzej Muszkieterowie. Dołączył do nich także były agent CBA.

Na razie wsławili się tym, że wrzucili zdjęcie ze świętowania 30 tys. subskrybentów kanału, na którym skrzętnie ukrywają flaszki, choć po twarzach widać, że było pite. Cała prawica na jednym obrazku.

Póki co nie idzie im zbyt dobrze, ale konkurencja po prawej stronie internetu jest ogromna. Liczą zapewne, że po powrocie PiS do władzy znowu dorwą się do konfitur.

Karnowski kiedyś przeprowadził wywiad z Urbanem, co do dziś wypominają mu prawdziwi Polacy. Co gorsza, słodził tam naczelnemu „NIE”, że „we wcześniejszych latach PRL był dziennikarzem niepokornym”. Teraz zaś zakłada kanał „TAK”. Nie ma przypadków, są tylko znaki. Karnowski nas lubi, tylko nie wie, jak zagadać. U nas nie trzeba chować flaszek.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl a1d53bfa81

Uwaga! Tylko dla sentymentalnych Słowian



Rys. MARCIN CHUDZIK

Szkoda języka

Dziś będzie sentymentalnie. Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze pokazywali w polskich telewizjach rosyjskie filmy, czyli przed I wojną rosyjsko-ukraińską z 2014 r., wyświetlili stale powracający do mej pamięci teraz.

Nie pamiętam jego tytułu, reżysera, aktorów. Pamiętam za to nastrój i pewne nigdy nie zapomnę.

Oto paczka pięknych, trzydziestoletnich Moskwiczan robi sobie wypad na Ukrainę. Na początku XXI w. Aby odwiedzić w Odessie przyjaciół, też Rosjan. Ruszają w podróż różnymi drogami. Podróże kształcą, a każdy wypad poza Moskwę to odkrywanie prawdziwej, trapionej realnymi problemami Rosji. Znany od wieków motyw rosyjskiej literatury.

Ale ich prawdziwe zdumienie narasta po przekroczeniu granicy z niepodległą już Ukrainą. Bo to zastają już inne państwo, ale przecież Kijów to „Matka ruskich miast" i „Jerozolima Rusi". Ludzie w tej Ukrainie przyjaźni, wszyscy rozumieją rosyjski. Co prawda pierogi mają tu inną, lokalną nazwę, za to smakują tak samo jak w Rosji, a nawet lepiej.

Podobnie jest z dziewczętami. Piękniejszymi, milszymi niż te wiecznie rozkapryszone Moskwianki. Nic dziwnego, że podczas bankietu na plaży w Odessie wprawiona w stan nirwanicznego szczęścia riebjata czuje się tam jak w domu. Bo wszyscy Słowianie to jedna rodzina. Kochajmy się!

Córka wyrodna

Jeszcze przed I wojną rosyjsko-ukraińską miałem szczęście kilkakrotnie bywać w Rosji. Nie tylko w Moskwie i w Leningradzie. W Tomsku, Nowosybirsku, Krasnojarsku, Woroneżu, Kaliningradzie i paru innych miejscach też. Byłem także w Harbinie – najbardziej ruskim z chińskich miast. Nie zdążyłem przejechać się Koleją Transsyberyjską. Ot, żal.

Wielokrotnie bywałem w Ukrainie. Miałem szczęście objechać cały Krym.

Jeszcze wtedy ukraiński. Byłem w Nikołajewie, gdzie młody Lew Dawidowicz rozpalał żagiew światowej rewolucji. W Chersoniu, gdzie są najlepsze arbuzy na świecie, o czym każdy na Placu Pigalle wie. W Czerniowcach, gdzie światową karierę zaczynała Helena Modrzejewska. W Odessie princessie. W Bukowinie, gdzie chrząszcz brzmi w trzcinie. Na poczcie w Berdyczowie. Z Francuzami w Kołomyi. W Tarnopolu – najbardziej chińskim z ukraińskich miast. Ostatni raz byłem w Kijowie przed II wojną rosyjsko-ukraińską z 2022 r. Nie zdążyłem być w Doniecku i Ługańsku. Ot, żal.

Kiedy byłem młodym posłem i delegatem Sejmu RP do Rady Europy, miło i skutecznie kooperowaliśmy z oddelegowanymi tam posłami Dumy. Z Lonią Słuckim, Dmitrijem Rogozinem. To na zaproszenie rosyjskim parlamentarzystów bywałem w Woroneżu i okolicach oraz w Kraju Krasnojarskim.

W Strasburgu tłumaczyłem poufne obrady Andrzeja Leppera z Władimirem Żyrynowskim. Bo wtedy dość biegle władałem mową Puszkina i Babla.

Wiele razy dyskutowałem przy zastawionym stole z rosyjskimi dziennikarzami. Zwykle kierował ich do mnie Jerzy Urban, miłośnik rosyjskiej kultury i kuchni. Kolega ambasadorów Rosji z czasów, kiedy do Warszawy wysyłano intelektualnych dyplomatów.

W mojej Polsce spotkałem wielu rusofilów, ale przeważnie antyradzieckich.

Jednym z najbardziej znanych jest Adam Michnik, który jeszcze w 2010 r. był gościem Klubu Wałdajskiego.

Stowarzyszenie Filmowców Polskich, którego jestem „Złotym Członkiem", przez dekady przyjaźniło się z rosyjskimi filmowcami. Nikita Michałkow był kumplem wybitnych polskich reżyserów i aktorów. Wielkim przyjacielem Polaków jeszcze niedawno.

Jako SLD kooperowaliśmy z ukraińskimi socjaldemokratami w Radzie Europy i Partii Europejskich Socjalistów. Szkoliłem ich młodzież, jak wygrywać wybory parlamentarne mają i o pożytkach z Unii Europejskiej. Biesiadowałem nieraz z ukraińskimi dziennikarzami. Wspierałem polsko-ukraińskie fundacje zakładane przez przyjaciół. Stowarzyszenie Polskich Filmowców lobbowało za uwolnieniem ukraińskiego reżysera Olega Sencowa z rosyjskiego pierdla.

Jeszcze po I wojnie rosyjsko-ukraińskiej dialog polsko-rosyjski był możliwy. I płodny intelektualnie. A dialog polsko-ukraiński nie był tak skrępowany cenzurą wojenną i autocenzurami jak obecnie. Nie był dodatkowym orężem w bieżącej politycznej wojnie polsko-polskiej.

Bombardowania Kijowa przez wyrodną moskiewską córeczkę, napad wojsk rosyjskich na Ukrainę w 2022 r., zmieniły nie tylko repertuar filmowy w polskich telewizjach. Znikać poczęły też programy publicystyczne, kulturalne, krajoznawcze nawet. Z rosyjskiej tematyki ostały się jedynie krytyki prezydenta Putina i jego ekipy. Lepsze lub gorsze. Masowe i przesycające.

Z Polski wyjechali jawni rosyjscy dziennikarze, twórcy kultury. Pozostali zdeklarowani przeciwnicy putinowskiej władzy. Mają podobne do moich polityczne poglądy. Nie dialogowe, bo ileż można się zgadzać?

Dziś języka rosyjskiego używam w rozmowach z Ukraińcami mieszkającymi w Polsce. Poszukującymi porad kobietami, ciekawymi Polski małolatami. Zdziwionymi zwykle, że ten pan mówi po rosyjsku, nie wstydzi się tego, zna nawet ukraińskie słowa. Oczywiście oni znają angielski, ale po słowiańsku zawsze lżej.

Kiedy rozmowa przedłuża się, kiedy zahaczamy o wojnę rosyjsko-ukraińską, słyszę kanonadę nienawiści do Rosji. Do wszystkiego co rosyjskie, bez różnicowania, po rosyjsku. Bluzgi z użyciem godnego matrosów „matu" płynące z usteczek słodko wyglądających kobiet. Uciekinierek z terenów „Małorosji", jak zwykle zwali ten obszar Ukrainy rosyjscy dziennikarze.

Wojna światów

Oczywiście łatwo potrafię wytłumaczyć taką ich „mowę nienawiści".

Moja szkoła i podwórko pełne były nienawiści do Niemców i Niemiec. Mieliśmy w podwórku starszego kolegę. Dziecko Polki i żołnierza Wehrmachtu. Rudowłosego na dodatek. Był regularnie bity i poniżany przez kolegów, aż okrzepł i potrafił im dołożyć. Na szczęście moi rodzice, poszkodowani wielokrotnie przez III Rzeszę, uczyli nas, że zbrodnia nie ma jednej narodowości. Że byli różni Niemcy, Polacy, Żydzi, Ukraińcy i Cyganie, dziś zwani Romami, też.

Wiosną 2022 r. przegrałem zakład z chińskimi dziennikarzami. Twierdziłem, że Rosja nie zaatakuje Ukrainy. A koncentracja jej wojsk to tylko wywieranie presji na ukraińskie władze. Dziś nie wierzę w szybki rozejm, ale chętnie przegrałbym taki nowy zakład.

Niestety po tej czteroletniej wojnie nie wierzę też w szybki, trwały pokój. Pojednanie zwaśnionych narodów. Zwłaszcza Słowian.

Ta wojna szybko trafiła pod strzechy. Razi cywilów. Kiedy dojdzie wreszcie do rozejmu, to trudno będzie znaleźć rodzinę, której krewni nie zostali zabici lub poranieni. Nie tylko na froncie, śmierć żołnierzy łatwiej jest oswoić. Trudniej zapomnieć cywilne ofiary nalotów.

Po zawarciu rozejmu wrócą żołnierze z frontu i z niewoli. Wszyscy psychicznie okaleczeni, wielu z trwałym inwalidztwem. Będą dobrą glebą do hodowania nienawiści. Do rosyjskiego, ukraińskiego, polskiego, białoruskiego, europejskiego wroga.

Nie wierzcie, że wojna sprzyja rozwojowi techniki, a gospodarka wojenna napędza bogactwo narodów.

Po zawarciu rozejmu Ukrainie i Rosji przyjdzie spłacać niemałe wojenne długi. Odbudowywać zniszczoną infrastrukturę. Modernizować wymagającą pilnych remontów.

Żadna z wojujących stron nie wzbogaci się na reparacjach wojennych, bo zapewne w tej wojnie nie będzie jednoznacznego zwycięzcy i pokonanego. Niezależnie od ogłoszonego politycznego zwycięstwa oba walczące państwa wyjdą gospodarczo znacznie osłabione.

Zapewne Ukraina ocali swą suwerenność państwową za oddanie jakiś stref suwerenności gospodarczej konkwistadorom z USA i sojusznikom z NATO.

Rosja już jest kolonizowana gospodarczo przez Chiny. Intensywnie modernizujące swoją armię. Jeszcze dwie chińskie pięciolatki i rosyjski arsenał militarno-nuklearny przestanie dominować w regionie Pacyfiku.

Rosji pozostanie zaakceptować rolę chińskiego junior partnera albo szybko przeprosić się z zachodnią, bogatą Europą.

Takie pojednanie z niedawnymi wrogami z Zachodu łatwiejsze będzie, kiedy w roli odwiecznych śmiertelnych wrogów zostanie obsadzona „faszystowska" Ukraina i „genetycznie rusofobiczna" Polska.

Nie będzie to trudne, bo w Polsce nie ma poważnych publicznych debat o polityce wobec Rosji zaraz po zawarciu rozejmu z Ukrainą.

Nie ma też debat o polityce polsko-ukraińskiej, kiedy armaty zamilkną.

Najpoważniejsze polskie kanclerskie głowy spierają się teraz, czy po przewidywanym rozejmie będą u nas stacjonować jedynie „europejskie myśliwce", czy jednak jacyś US marines dodatkowo pozostaną.

Polscy politycy i eksperci zachowują się, jakby już byli skolonizowani.

Nie potrafią wpływać na europejskich i amerykańskich sojuszników, współtworzyć wspólnych polityk.

A ja zostałem z tym rosyjskim gorzej niż Himilsbach z angielskim.

Kiedy już się go nauczyłem, to boję się, że już do końca życia będę słyszał w tym języku jedynie mowę nienawiści.

Bo tak zredukowaliśmy dialog między nami Słowianami.

PIOTR GADZINOWSKI

Dzieciom uśmiech, biznesowi wojna

Moja prywatna teoria spiskowa

Zacznę od teorii spiskowej. A co, wszyscy wymyślają jakieś spiski, a mnie nie wolno?

Otóż ostatni tydzień przyniósł trzy istotne przecieki. Wszystkie trzy w jakiś sposób nastawione na wykolejenie ukraińskiego procesu pokojowego.

Pierwszy – o nim w Polsce słyszeliśmy najmniej (ciekawe dlaczego) – ukazał się w „Wall Street Journal" i dotyczył zmiany, jakiej strona ukraińska miała zażądać w pierwotnym szkicu 28-punktowego porozumienia, proponowanego przez Waszyngton. Otóż punkt przewidujący audyt całej pomocy uzyskanej przez Ukrainę z Zachodu – wyraźnie nawiązujący do ostatniej afery korupcyjnej w najbliższym otoczeniu prezydenta Zełenskiego – został zastąpiony zapisem: „Wszystkie strony zaangażowane w konflikt obejmie pełna amnestia w związku z działaniami w trakcie wojny; strony zobowiązują się też nie wnosić żadnych roszczeń ani nie rozpatrywać żadnych skarg w przyszłości". Polskie media, komentując ten punkt, nie posiadały się z oburzenia, przekonane, iż chodzi o „rosyjskie zbrodnie wojenne" i generalnie zapis ma chronić „zbrodniarza Putina". Pojawiły się nawet doniesienia, że punkt ten został na życzenie Ukraińców usunięty z nowej wersji planu.

Tymczasem do ukarania Putina – a tak naprawdę jakichkolwiek przestępstw wojennych popełnionych przez Rosjan – najpierw musiałaby nastąpić bezwarunkowa kapitulacja Rosji. Szanse na taki rozwój sytuacji są – jak by to ująć – dość niskie, więc i rosyjskie zainteresowanie tym punktem umowy zapewne nie było wysokie. Za to złapanie za dupę ukraińskich aferzystów, którzy upaśli się na zachodniej pomocy, zaczęło stanowić realną groźbę. Po wojnie niewątpliwie pojawi się w tej sprawie silny nacisk ze strony zachodnich rządów, które futrowały Ukrainę kasą i bronią, niejednokrotnie ku niezadowoleniu własnych społeczeństw. Czy i na ile osobiście zamieszany w te afery jest Wołodymyr Zełenski – nie wiemy, ale można podejrzewać, że ujawnienie tego, ile ukradli jego kumple, gdy naród krwawił i głodował, raczej nie przysłuży się jego politycznej przyszłości.

Drugi przeciek – kompletny zapis całego 28-punktowego planu – pojawił się w „Financial Times". Zaryzykuję tezę, że celem jego ujawnienia było dokładnie to, co się wydarzyło: powszechne oburzenie na „plan pisany cyrylicą".

Dla pełnej jasności: pewnie był pisany cyrylicą. Gdyż – jak trafnie zauważył analityk znakomitego niezależnego portalu „Consortium News" Patrick Lawrence – ani Rubio, ani Witkoff nie są na tym poziomie myślenia strategicznego czy państwotwórczego, żeby tak wyczerpujący plan zbudować. Poza tym: no cóż, Rosja tę wojnę zaskakująco powoli, ale jednak wygrywa. Ukraina, z całą pomocą zachodnią – coraz wyraźniej przegrywa. Jeżeli Trump chce doprowadzić do jej zakończenia, musi zaproponować Rosji coś, co ona uzna za akceptowalne.

Szalenie mnie śmieszy narracja Ukrainy – powtarzana przez polskich polityków i komentatorów – dotycząca sukcesów, jakie Zełenski odnosi w negocjacjach z Trumpem. To nie z Trumpem Ukraina toczy tę wojnę i nie Trump ostatecznie będzie decydował o pokoju. Rosja musi się na niego zgodzić.

Ukraińcy – wykazują sondaże – rozumieją to i są z tym coraz bardziej pogodzeni. Liczba tych, którzy uważają, że „Ukraina powinna walczyć aż od zwycięstwa" spadła z 73 proc. w pierwszych miesiącach wojny do 24 proc. w sierpniowym sondażu Gallupa. Odsetek zwolenników rozmów pokojowych i jak najszybszego zakończenia wojny, nawet kosztem ustępstw terytorialnych, wzrósł z 22 do 69 proc.

Publikacja 28-punktowego planu skutecznie podkopuje fundament rozmów, których oczekują obywatele Ukrainy – widać to chociażby w histerycznych reakcjach polityków europejskich.

I wreszcie trzeci przeciek pojawił się w biznesowym portalu Bloomberg.

Portal ów zdobył nie tylko nagranie rozmowy specjalnego wysłannika Trumpa ds. Ukrainy Steve'a Witkoffa z doradcą Putina Jurijem Uszakowem, ale także – co już kompletnie niewyobrażalne – rozmowę Uszakowa z szefem rosyjskiego Funduszu Inwestycji Bezpośrednich Kiryłłem Dmitriewem, jednym z najbliższych ludzi Putina.

W pierwszej rozmowie Witkoff sugerował Uszakowowi, jak Putin ma rozmawiać z Przywódcą Wolnego Świata, żeby wprawić go w dobry nastrój: skomplementować go jako „człowieka pokoju", pogratulować zakończenia wojny w Gazie, zaproponować stworzenie planu dla Ukrainy na wzór tego znakomitego planu dla Gazy. W drugiej – rosyjscy politycy planują strategię negocjacyjną opartą niezaskakująco na maksymalizacji żądań na wstępie, żeby nawet po pewnym okrojeniu uzyskać to, na czym Rosji zależy. Tak naprawdę nie wnosi ona nic nowego poza sygnałem, że Rosja – wbrew temu, co słyszymy w Polsce – jest serio zaangażowana w negocjacje.

Główny wniosek, który płynie z pierwszej rozmowy, jest taki, że wszyscy – nawet wieloletni przyjaciel i partner golfowy Trumpa – zdają sobie sprawę, że prezydent USA jest narcyzem z demencją, którym należy manipulować za pomocą pochlebstw. I jestem dziwnie pewna, że dokładnie o to chodziło.

Nie o to, żeby skompromitować Witkoffa w oczach świata – w końcu kolektywny Zachód i tak uważa go w najlepszym przypadku za „prorosyjskiego" – tylko o to, żeby Trump poczuł się dotknięty w swoim narcyzmie, obraził się na niego i wywalił go z roboty. Co mogłoby utrudnić negocjacje. Wszystko wskazuje na to, że Witkoff rzeczywiście zbudował kanały komunikacji z Rosjanami i jest (zaskakująco, zważywszy, że w dyplomacji to kompletny amator) skutecznym wysłannikiem do prowadzenia rozmów, których nikt inny na Zachodzie nie chce bądź nie umie dziś prowadzić.

A teraz zagadka: jak to się stało, że wszystkie trzy rewelacje, zamiast do wiodących mediów politycznych – CNN, BBC, „New York Times" czy „Washington Post" – trafiły akurat do organów biznesowych: „Wall Street Journal", „Financial Times" i Bloomberga?

Moja teza spiskowa: bo przecieki nie pochodziły od polityków, tylko ze świata biznesu.

Ta wojna stanowi bowiem świetny biznes. Wykolejenie – albo chociaż opóźnienie – procesu pokojowego to kolejne miliardy dolarów, przede wszystkim dla amerykańskich koncernów zbrojeniowych, ale przecież nie tylko. Amerykański kapitał jest generalnie zachwycony. Wojna na której Ameryka zarabia, Europa płaci, a giną jacyś dzicy ludzie pół świata od nas – czegóż tu nie lubić?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl a1d53bfa81

Pastuszek Karaganow i jego wilki

Czy będzie wojna atomowa?



Rys. MARCIN CHUDZIK

Paweł Kowal, szef sejmowej komisji spraw zagranicznych i przewodniczący Rady ds. Współpracy z Ukrainą, był uprzejmy pogawędzić w RMF FM z Tomaszem Terlikowskim. Podczas tej rozmowy ogłosił, że jesteśmy na wojnie z Rosją, strofował dziennikarza, że ten miał czelność pytać o twarde dowody oskarżeń Rosji w sprawie uszkodzenia torów, zapowiedział sadzanie do pierdla wszystkich, którzy mają zdanie odmienne od zdania Kowala i jego kolegów – ale wtrącił też kilka słów, które akurat warto było usłyszeć.

– Jadąc do pana – wywodził Kowal – czytałem wywiad ze znanym mi skądinąd, bo znam dobrze Karaganowa, Karaganowem, który jest ideologiem Putina, proszę popatrzeć, co on proponuje dla Europy. Proponuje zastraszać, zastraszać i jeszcze raz zastraszać…

I to dopiero jest ciekawe, bo Kowal przywołał nazwisko człowieka, który na rosyjskiej scenie politycznej pełni istotną funkcję. Zarówno ze względu na jego dostęp do najwyższych polityków rosyjskich, jak i na poglądy, które głosi – zwłaszcza, że żadne oficjalne czynniki się od nich nie odcinają.

Bóg mi świadkiem, że nie chcę mieć nic wspólnego z Pawłem Kowalem, ale jednak coś mam, niestety. Otóż też znam Siergieja Karaganowa.

Ten wygolony gładko na łyso politolog z miłym uśmiechem wygłasza od jakiegoś czasu opinie, od których robi się zimno. I ostatni jego wywiad – ten, o którym wspomina Kowal – nie jest żadną niespodzianką ani zaskoczeniem. On tak od dawna.

Moje spotkanie z Karaganowem miało miejsce w 2014 r., kiedy po przyłączeniu Krymu pojechałem do Moskwy, by porozmawiać na ten temat z przedstawicielami rosyjskiej klasy rządzącej. Była wśród nich obrończyni Michaiła Chodorkowskiego, był redaktor naczelny zamkniętej dziś i zabronionej w Rosji „Nowoj Gaziety”, późniejszy noblista Dmitrij Muratow, byli deputowani do Dumy – był i Siergiej Karaganow. Politolog, dyrektor naukowy fakultetu Światowej Gospodarki i Polityki Narodowego Uniwersytetu Badawczego Wyższa Szkoła Ekonomii, honorowy przewodniczący Prezydium Rady Polityki Zagranicznej i Obronnej, współtwórca i współorganizator Klubu Wałdajskiego – międzynarodowej platformy dyskusyjnej gromadzącej co roku światowych polityków i ekonomistów.

Wtedy, w 2014 r., podczas naszej rozmowy odpowiadał mi na pytania o Krym, o lęk Europy przed Rosją, o plany dalszego rozwoju. Mówił ciekawie, a na koniec podarował mi kilka swoich artykułów: o nowym człowieku rosyjskim, zmianie kierunku polityczno-gospodarczego Rosji. Gdy zapytałem, gdzie w jego koncepcjach jest miejsce na demokrację w stylu europejskim, uśmiechnął się promiennie i odpowiedział: „To, panie redaktorze, będzie taka nasza wisienka na torcie. Najpierw jednak zrobimy ten tort”.

Po powrocie do Polski uznałem, że naszego Czytelnika nie zainteresują tak odległe, nieledwie futurystyczne koncepcje rosyjskiego politologa, zatem rozmowę z nim pobieżnie omówiłem w artykule, a jego wizjonerskie artykuły zlekceważyłem. Jak się okazuje, całkowicie niesłusznie.

Pierwszą jaskółką nowych koncepcji Karaganowa, które zaczęły znajdować zaskakująco szeroki posłuch w rosyjskich elitach, była jego publikacja z września 2022 – pół roku po rozpoczęciu wojny z Ukrainą. Wtedy zapewne do większości Rosjan zaczęła docierać myśl, że to koniec pewnej epoki: Zachód chce ich unicestwienia, a wojna ta, choć toczona na terytorium Ukrainy, jest proxy wojną Rosji z Zachodem. Kolektywnym Zachodem – jak się wtedy zaczęło mówić w rosyjskich mediach. Jest problemem egzystencjalnym.

Karaganow dał swojemu esejowi tytuł: „Rosja odchodzi od cywilizacji euroatlantyckiej”. Ton artykułu był – jak by to powiedzieć – napastliwy. Zakończył się – wywodził Karaganow – czas, gdy Rosja próbowała wbudować się w porządek międzynarodowy stworzony na Zachodzie. Wojna jest tego potwierdzeniem i będzie trwała długo. Zachodnia cywilizacja jest Rosji niepotrzebna, Rosja sama jest cywilizacją, odrębną od zachodniej. Zachód gnije, kończy się. Już jest mniejszością, ale o tym nie wie, a jego elity zdegradowały się mentalnie i intelektualnie. Rosja nie jest i nie będzie dla Zachodu bazą energetyczną. Powrót do Zachodu – owszem – za jakieś 20 lat. Zachodnie elity nie rozumieją powagi sytuacji. Potrzeba pracy nad obniżeniem prawdopodobieństwa wojny jądrowej – twierdził Karaganow.

I to było jego ostatnie tak łagodne wystąpienie. Potem było już tylko gorzej.

W czerwcu 2023 r. – gruch! Na portalu Profil ukazuje się artykuł Karaganowa pod wszystko mówiącym tytułem: „Użycie broni jądrowej może uratować ludzkość przed globalną katastrofą”. Autor rozważa ze szczegółami możliwość pierwszego uderzenia jądrowego na jakiś europejski kraj NATO. Pada tam zdanie warte zacytowania: „Tylko w przypadku, gdy w Białym Domu będzie siedział szaleniec, na dodatek nienawidzący swojego kraju, Ameryka zdecyduje się na uderzenie »w obronie« Europejczyków, ryzykując odpowiedź, poświęcając przykładowy Boston za przykładowy Poznań”.

Artykuł został natychmiast przedrukowany przez ważniejsze media w Rosji – i zauważony na całym świecie. Media i eksperci wszelakiej maści prześcigali się w rozważaniach, czy to sam Karaganow wyleciał przed szereg, czy przeciwnie – powiedział to, czego Putin powiedzieć publicznie nie może. Rozwijano mapy i wykresy, straszono się i uspokajano, słowem, Karaganow osiągnął pożądany efekt: świat się spłoszył. Ale nie na długo. Zatem Siergiej Karaganow zaczął z regularnością automatu produkować kolejne artykuły, w których rozwijał wszelkie warianty użycia przez Rosję broni jądrowej.

I stała się rzecz ciekawa: im więcej tych artykułów, z mrożącymi krew w żyłach scenariuszami, tym mniejsze wrażenie one robiły. A przecież nie tylko Karaganow pisał i mówił takie rzeczy.

Publikacje Karaganowa zawierały kilka rzeczy wspólnych: opisywały w miarę dokładnie, gdzie i jak spadną pociski jądrowe, jak i dlaczego USA na to nie zareaguje, ile setek tysięcy lub milionów ludzi zginie, jakie będą zniszczenia

oraz – obowiązkowo – zastrzeżenie, jak ciężko będzie dźwigać Rosjanom ten straszny grzech polegający na wzięciu na swą duszę wszystkich ofiar. Jednym z ostatnich, mocnych w swej wymowie tekstów był wywiad z sierpnia 2024 r. opatrzony podtytułem „Prezydent mnie słyszy”. Może słyszy, może nie, w każdy razie Putin nie podejmował publicznie rozważań Siergieja Karaganowa.

No to politolog postanowił o sobie przypomnieć. 13 listopada w niemieckim portalu Multipolar ukazał się wywiad z Karaganowem, w którym powtórzył on wszystkie swoje tezy, uzupełniając je listą krajów, które przestaną istnieć w przypadku uderzeń jądrowych ze strony Rosji. Dorzucił też informację, że jego idee wyrośnięcia atomowych grzybów w Europie popiera 90 proc. Rosjan i 95 proc. elity wojskowo-politycznej. Moje dane są inne, ale może Siergiej Karaganow ma dokładniejsze.

Karaganow w wywiadzie dokładnie opisał też powojenny porządek Europy i świata.

I to na ten wywiad powoływał się Kowal, wyciągają zresztą zupełnie nieracjonalne wnioski. Ale mniejsza o Kowala.

Myślę sobie, że kolejne publikacje i wypowiedzi Siergieja Karaganowa przypominają bajkę Ezopa o pastuszku, co to darł mordę o wilkach napadających jego owieczki, choć wilków nie było. A kiedy rzeczywiście przyszły, nikt nie uwierzył w jego krzyki i owieczki zostały zeżarte. Zanim przestaniemy reagować emocjami na enuncjacje Karaganowa, warto się zastanowić, czy wilki naprawdę nie podchodzą pod skraj lasu.

Sytuacja wygląda mniej więcej tak: Europa, choć wojownicza w gębach swoich niewydarzonych polityków, na wojnę z Rosją raczej nie pójdzie, bo zdaje sobie sprawę ze swoich wszystkich słabości: militarnych i politycznych. Rosja zaś, choć na Ukrainie idzie do przodu, nie pójdzie na wojnę z NATO, z tych samych powodów. Jest zatem szansa, że Karaganow zostanie sam ze swoimi wyimaginowanymi wilkami.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Kumpel Donalda w natarciu

Niespodziewane zwycięstwo partii prezydenckiej w wyborach parlamentarnych w Argentynie

Pomimo dużych trudności gospodarczych, cięć wydatków na edukację i opiekę zdrowotną i – wydawałoby się – spadku popularności, prezydent Javier Milei odniósł zwycięstwo w argentyńskich wyborach parlamentarnych.

W październikowych wyborach częściowych do obsadzenia było 127 mandatów w 257-osobowej Izbie Deputowanych i 24 z 72 mandatów senatorskich. Partia Mileia, Libertad Avanza, zdobyła 40,8 proc. głosów, co przełożyło się na 64 miejsca w Izbie. Uzyskała także 13 mandatów w senacie. Dodając te miejsca do już posiadanych, formacja Mileia ma teraz otwartą drogę do demontażu pozostałych, nielicznych już, zdobyczy socjalnych – w ramach programu gospodarczego, wspieranego przez globalne elity finansowe.

La Libertad Avanza zdobyła poparcie nawet w prowincji Buenos Aires – tradycyjnym bastionie postępowych peronistów; odniosła także zwycięstwo w kluczowych prowincjach, takich jak Córdoba, Santa Fe i Mendoza. Peronistowska koalicja Fuerza Patria uzyskała 33,7 proc.

Z gratulacjami dla Mileia pospieszyli Donald Trump i Beniamin Netanjahu.

Szczególnie Trump miał powody do satysfakcji: wybitnie pomógł on Mileiowi w wyborach, obiecując – w przypadku jego wygranej – pakiet pomocowy w wysokości 40 mld dol.

Obecny prezydent Argentyny jest ważnym sojusznikiem Ameryki w jej sporze geopolitycznym z Chinami. Argentyna ma też znaczne niewykorzystane zasoby (lit, uran, ropa naftowa i pierwiastki ziem rzadkich). USA zależy również na kontroli nad argentyńską infrastrukturą: portami, bazami, tamami i sieciami komunikacyjnymi.

W telewizji A24 służalczość wobec USA Javier Milei nazwał „powrotem Argentyny na ścieżkę wielkości”. Swoje wystąpienie prezydent zakończył słowami: „Niech żyje wolność, kurwa! Uczynimy Argentynę znów wielką”.

Zwycięstwo partii Mileia w wyborach parlamentarnych zaskoczyło opinię publiczną zarówno w Argentynie, jak i w innych krajach regionu. 7 września w wyborach poprzedzających w prowincji Buenos Aires koalicja partii peronistowskich i lewicowych Fuerza Patria zdecydowanie pokonała neoliberalnych ultrasów, uzyskując 47,2 proc. La Libertad Avanza zdobyła zaledwie 33,8 proc.

Peroniści świętowali – wydawało się, że los Mileia i neoliberalnej ekstremy jest przesądzony, co interpretowano jako efekt narastającego zmęczenia cięciami wydatków na cele społeczne, a także serii skandali, związanych z otoczeniem prezydenta – takich jak promowanie kryptowaluty Libra, która zrujnowała setki tysięcy inwestorów, czy sprawa prominentnego polityka Libertad Avanza, Luisa Esperta, uwikłanego w handel narkotykami i sądzonego z tego tytułu w USA. Pod koniec kampanii wyborczej Milei oskarżył peronistów o chęć obalenia rządu i przedstawiał widmo powrotu „komunizmu castro-chavistowskiego” do kraju. Na ostatnim wiecu, w mieście Rosario, prezydent wezwał wyborców, „aby się nie poddawali i naprawdę zmienili Argentynę”.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Październikowe zwycięstwo nadal nie daje prezydentowi i jego koalicjantom większości rządzącej – Milei może jednak blokować decyzje paramentu poprzez weto, do którego odrzucenia trzeba dwóch trzecich głosów członków obu izb. Do tej pory korzystał on z prawa weta, aby zablokować ustawy zwiększające wydatki na edukację, emerytury i opiekę zdrowotną.

W ciągu swojej prawie dwuletniej kadencji Milei szeroko wykorzystywał dekrety prezydenckie do wdrażania programu gospodarczego zakładającego drastyczne cięcia wydatków publicznych, liberalizację i deregulację. Za jego rządów drastycznie ograniczono aktywność państwa: zamknięto większość ministerstw, zwolniono około 50 tys. pracowników sektora publicznego, wstrzymano znaczną część robot publicznych, stanowiących główne źródło zatrudnienia, do absolutnego minimum ograniczono programy wsparcia dla osób żyjących w ubóstwie, a także wypłaty dla prowincji.

Jako swój wielki sukces Javier Milei prezentuje pierwszą od ponad dekady nadwyżkę budżetową. Osiągnął ją jednak kosztem ogromnej części społeczeństwa. Spadające dochody realne, zwłaszcza wśród emerytów i pracowników sektora publicznego, malejąca konsumpcja i stagnacja produkcji sprawiły, że wielu wyborców jest wyraźnie rozczarowanych systemem politycznym jako całością. Dlatego – mimo iż głosowanie w Argentynie jest obowiązkowe – frekwencja wyniosła zaledwie 67,8 proc. Fakt, iż peronistom nie udało się zmobilizować większej części społeczeństwa do głosowania przeciw Mileiowi – jest z pewnością porażką idei sprawiedliwości i równości, która dała Argentyńczykom poczucie stabilizacji i tożsamości na długie lata.

Pod rządami Javiera Milei Argentyna ryzykuje przekształcenie się w neoliberalne laboratorium – jej przywódca przedstawia się bowiem jako outsider, ale w rzeczywistości uosabia najbrutalniejszą wersję neoliberalizmu. Wyraża pogardę dla państwa, wychwala „wolny rynek” jako jedyną prawdę i uważa biednych za ciężar, który najlepiej wyeliminować. Jego sukces, otwarcie wspierany przez Donalda Trumpa, to niebezpieczny sygnał nie tylko dla Ameryki Łacińskiej, ale i świata.

eprasa.pl a1d53bfa81

Gaza niezgody

Gdzie Bibi ma Trumpa



Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Czapa dla wrogów narodu żydowskiego nie będzie fakultatywna ani pozostawiona sądowemu uznaniu. Ustawa przewiduje możliwość orzekania jej w drodze głosowania. Co więcej, kara orzeczona wobec osoby, która otrzymała „prawomocny wyrok”, nie może zostać zamieniona na inną.

17 listopada Rada Bezpieczeństwa ONZ w swojej rezolucji zatwierdziła słynny 20-punktowy plan zakończenia wojny w Strefie Gazy zaproponowany przez Donalda Trumpa. To oznacza, że stał się on oficjalnym dokumentem prawa międzynarodowego, który obowiązuje wszystkich członków ONZ. Wiele wskazuje, że uszyty przez amerykańskiego przywódcę pokój już rozłazi się w szwach.

W Gazie bez zmian

9 października Izrael i Hamas zgodziły się na wprowadzone z inicjatywy Trumpa zawieszenie broni w trwającej od dwóch lat wojnie w Gazie. Zgodnie z porozumieniem Hamas wypuścił na wolność 20 Izraelczyków. Izrael uwolnił 1968 Palestyńczyków przetrzymywanych w więzieniach, często bez sądowego nakazu aresztowania.

Choć do Strefy zaczęła docierać szczątkowa pomoc humanitarna, a jej mieszkańcy masowo powracali do ruin domów, pokój okazał się pozorny. Według oficjalnych danych Ministerstwa Zdrowia w Gazie, od czasu wprowadzenia rozejmu zginęło co najmniej 312 Palestyńczyków – i liczba ofiar rośnie z każdym dniem. Tylko 22 listopada w wyniku nalotów „najbardziej humanitarnej armii świata” śmierć poniosło 24 obywateli Palestyny. Ponadto na Zachodnim Brzegu Jordanu zauważalnie zaktywizowali się radykalni izraelscy osadnicy, którzy coraz częściej atakują palestyńskie wioski.

Trump robi dobrą minę do złej gry, choć Izrael kręci nim jak śmigłem. Plan prezydenta USA zobowiązał Izrael do wycofania sił IDF (izraelskiej armii) za tzw. żółtą linię – granicę oddzielająca strefy kontrolowane przez IDF do obszarów przekazanych pod nadzór sił stabilizacyjnych (ISF) i palestyńskiej administracji. Mimo to izraelskie wojsko nadal stacjonuje na ponad 50 proc. terytorium Gazy. Oficjalnie w ramach „operacji antyterrorystycznych, niszczenia tuneli Hamasu i utrzymywania stref buforowych”. Lokalne władze szacują, że co najmniej 20–30 tys. palestyńskich cywilów utknęło w blokadzie wschodniej części Gazy, gdzie IDF kontynuuje „operacje”.

Granica, pomyślana jako tymczasowa, może stać się permanentna. Wiewiórki donoszą, że wśród izraelskich polityków popularność zyskuje pomysł podziału Strefy Gazy: po izraelskiej stronie żółtej linii funkcjonowałaby administracja przejściowa, nieograniczona pomoc humanitarna, saudyjskie i emirackie inwestycje w odbudowę. Po stronie Palestyny: gówno. W teorii mieszkańcy Gazy mogliby opuścić miejsce, które im się nie podoba. Póki co izraelskie wojsko natychmiast otwiera ogień do Palestyńczyków, którzy próbują przekroczyć żółtą linię.

Pomysł takiego podziału jest zasadniczo sprzeczny zarówno w pierwotnym planem Trumpa, jak i ze świeżo przyjętą rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ. Izrael ma to w pompie, a Netanjahu wciąż rozdaje karty.

Dekrety Bibiego

Izraelskie władze już na początku listopada ustaliły własne zasady gry. Po artykule w „Washington Post” informującym, że Amerykanie przejmą dowodzenie nad pomocą humanitarną, która trafi do Strefy Gazy, żydowscy urzędnicy poinformowali, że nie jest to proces przekazywania władzy ani odpowiedzialności Izraela na Amerykanów. Wyjaśnili również, że Amerykanie będą uczestniczyć w formułowaniu i wdrażaniu mechanizmów koordynacji, nadzoru i kontroli w kontekście pomocy humanitarnej, w pełnej współpracy z izraelskimi służbami bezpieczeństwa. Izrael podkreślił również, że nie zaszła żadna zmiana w polityce wwozu sprzętu „podwójnego zastosowania” do Strefy Gazy i że wszelkie decyzje będą w pełni koordynowane i zatwierdzane przez Izrael. Tym samym Netanjahu dał Trumpowi do zrozumienia, że samodzielnie może co najwyżej podrapać się po tyłku.

Szef izraelskiego MON Israel Katz zadeklarował, że sprzeciw Izraela wobec utworzenia państwa palestyńskiego na jakimkolwiek terytorium pozostaje niezmienny. W podobnym tonie wypowiedział się minister gospodarki Nir Barkat i zamiast państwa palestyńskiego zaproponował utworzenie bantustanu pod nazwą „Emirat Hebronu”.

Na deser Kneset uchwalił ustawę, która zakłada obowiązkową karę śmierci jako jedyną karę za „morderstwo motywowane rasizmem lub wrogością wobec ludności, w okolicznościach, w których czyn został popełniony z zamiarem zaszkodzenia Państwu Izrael i odrodzeniu narodu żydowskiego na jego ziemi”.

Donald Trump zagoniony w kozi róg własnej niemocy 12 listopada wystosował do prezydenta Izraela Jicchaka Herzoga list, w którym zaapelował o ułaskawienie premiera Binjamina Netanjahu od zarzutów korupcyjnych. Trump nazwał proces Netanjahu „politycznie motywowanym” i podkreślił rolę premiera w negocjacjach pokojowych na Bliskim Wschodzie (sic!). Tym samym prezydent USA potwierdził przypuszczenia międzynarodowej opinii, że główną inspiracją Netanjahu do wojny – obok napędzanej rasizmem nienawiści do Palestyńczyków – jest ochrona własnej dupy przed więzieniem

Izraelska opozycja i były premier Izraela Yair Lapid skrytykowały apel jako nieuzasadnioną ingerencję w izraelski system prawny. Prezydent Herzog wyraził szacunek dla Trumpa, ale zaznaczył, że nie może działać bez formalnego wniosku od samego zainteresowanego bądź jego rodziny. Ten zapewne wpłynie, kiedy Izrael dokończy dzieła zniszczenia tam, gdzie je zaczął.

Wołanie na puszczy

22 listopada w Tel Awiwie miała miejsce antyrządowa demonstracja zorganizowana przez rodziny ofiar 7 października i poległych żołnierzy, z udziałem liderów opozycji (m.in. byłych premierów Yaira Lapida i Naftalego Bennetta). Protestujący domagali się powołania niezależnej państwowej komisji śledczej do zbadania błędnych decyzji politycznych, które doprowadziły do złamania zabezpieczeń i ataków Hamasu w 2023 roku. Demonstracje były bezpośrednią reakcją na decyzję Netanjahu z 17 listopada, który zamiast komisji państwowej (tradycyjnie prowadzonej przez sąd) zdecydował o powołaniu własnej, kontrolowanej przez jego gabinet, komisji dochodzeniowej. Krytycy oskarżyli rząd Bibiego o tuszowanie prawdy i próbę uniknięcia odpowiedzialności za ignorowanie ostrzeżeń wywiadowczych oraz użycie przez siły IDF dyrektywy Hannibala. To strategia ostrzelania własnych zasobów ludzkich, stosowana, aby zapobiec pojmaniu izraelskich żołnierzy i cywilów przez wrogich bojowników. Wedle doniesień procedura doprowadziła do śmierci dużej liczby zakładników po ataku Hamasu.

Tego samego dnia przed Ministerstwem Aktywów Państwowych w Warszawie odbył się protest przeciwko udziałowi Polski w ludobójstwie w Gazie. 18 listopada brytyjska gazeta „The Telegraph” powołując się na raport opracowany przez propalestyńskie grupy aktywistów (m.in. Shadow World Investigations i Movement Research Unit) doniosła, że Stany Zjednoczone wykorzystują trotyl z polskiego Nitro-Chemu do produkcji bomb dla Izraela. Chodzi o ładunki MK-84 i BLU-109 wykorzystywane w atakach na Strefę Gazy. „The Telegraph”, zauważył, że Nitro-Chem jest jednym z największych producentów trotylu na świecie – i jedynym dużym producentem w Europie. Sytuacja ta, w połączeniu z wysokim popytem międzynarodowym, doprowadziła do niedoborów materiałów wybuchowych w NATO, utrudniając wsparcie Ukrainy w zakresie dostarczania amunicji. Nitro-Chem odrzucił oskarżenia, twierdząc, że jego działalność jest zgodna z prawem międzynarodowym. Protestujący wezwali firmę i polskie władze do natychmiastowego zaprzestania dostaw trotylu na rynek amerykański i bezpośrednich dostaw materiałów wybuchowych do Izraela.

Rządy Polski i Izraela solidarnie wszystkie apele mają w dupie.

IDALIA DUBICKA

Argentyński prezydent jest w istocie ekonomistą anarchokapitalistycznym, inspirowanym libertariańskimi ideami Murraya Rothbarda i skompromitowanymi koncepcjami Miltona Friedmana. Wizja gospodarcza Mileia zagraża samej demokracji, gdyż opiera się na modelu wykluczenia i autorytaryzmu.

Przez dwa lata jego rządów produkcja przemysłowa spadła o ponad 15 proc., a zatrudnienie o 7 proc. – najwięcej od czasu bankructwa w 2002 r. Co więcej, w pierwszej połowie 2024 r. ubóstwo osiągnęło 52 proc.: to, według danych Obserwatorium Deprywacji Społecznej Katolickiego Uniwersytetu Argentyny, wzrost o 10 punktów procentowych w ciągu roku. Polityka Milleia oznacza także śmiertelne niebezpieczeństwo dla małych i średnich argentyńskich przedsiębiorstw, które zapewniają 70 proc. zatrudnienia – i bez pomocy ze strony państwa nie są w stanie konkurować z dużymi korporacjami międzynarodowymi.

Kolejną ofiarą Mileia jest prawo pracy: reforma zniosła kary dla osób, które nie sformalizują zatrudnienia. 12 mln osób – prawie połowa siły roboczej – nie ma już stałej umowy o pracę. Dodatkowo prezydent proponuje wydłużenie czasu pracy do 12 godzin, likwidację wszelkich odpraw dla zwalnianych, niezależnie od uzasadnienia, likwidację sądów pracy i umów zbiorowych, pozostawienie długości urlopu w gestii pracodawcy. Observatorio de la deuda social (instytucja zajmująca się długiem publicznym) podkreśla, że Argentyna jest krajem najbardziej dotkniętym liberalizacją.

Na to wszystko nakładają się próby wybielania junty Jorge Videli: Milei przekonuje, że uchroniła ona kraj przed komunistyczną dyktaturą, neguje tortury, morderstwa, rabunek, bezterminowe przetrzymywanie w więzieniach, porwania czy ogólnokrajową budowę sieci obozów koncentracyjnych. Jest to tuszowanie i argumenty zgodne z faszystowską logiką propagandy.

Przyszłość Argentyny rysuje się niestety ponuro.

ANDRZEJ ULMER

Trumpolandia

Po 43 dniach „zamknięcia rządu” – zawieszenia pracy (i płacy) kilkuset tysięcy pracowników federalnych w wyniku nieuchwalenia budżetu – ośmiu demokratycznych senatorów złamało się i zagłosowało z republikanami. W zamian uzyskali raczej pustą obietnicę, że najbardziej kontrowersyjny element inkryminowanego budżetu – zniesienie dopłat do Obamacare – zostanie jeszcze raz przegłosowany; bez jakiejkolwiek gwarancji, że wynik głosowania będzie inny niż dotychczas. Forsowany przez administrację Trumpa budżet podnosi składki na ubezpieczenie zdrowotne dla 20 mln Amerykanów – co najmniej dwu-, a w niektórych przypadkach trzy- albo i czterokrotnie; kolejne 15 mln w ogóle wyrzuca z systemu Medicare, gwarantującego ubezpieczenia uboższej części społeczeństwa. Oblicza się, że w związku z tym dodatkowe 50 tys. ludzi rocznie umrze z braku dostępu do leczenia. Wszystko to po to, żeby dać bilion dolarów ulg podatkowych 1 proc. najbogatszych – wyjaśnia efekty decyzji senackich kolegów Bernie Sanders.

Ale nie jest tak, że administracja Trumpa nie robi nic dobrego dla zdrowia Amerykanów. W sierpniu prezydent obiecał zmniejszyć ceny leków „nie o 30 czy 40 proc., co już byłoby świetne, ale o 1000, 600, 500, 1500 proc. – liczby, o których nikt nie sądzi, że są osiągalne”. Póki co, kupując lek warty 100 dol., przeciętny Amerykanin nie odbiera jeszcze w aptece 1400 dolków w gotówce – więc ten plan jeszcze czeka na zrealizowanie – ale rzeczywiście udało się obniżyć cenę Ozempicu (leku na cukrzycę używanego głównie do odchudzania) z 1350 do 250 dolków. Sukces jest relatywny, zważywszy, że w Europie kosztuje on ok. 100 euro – ale nie bądźmy malkontentami. Albowiem dzięki temu – ogłosił dr Oz, telewizyjny celebryta, którego Trump postawił na czele zarządu systemów Medicare i Medicaid – Amerykanie do „wyborów śródkadencyjnych w przyszłym roku zrzucą 135 mld funtów”. Steven Colbert z kultowego programu „The Late Show” (obecnie w likwidacji za złośliwości wobec prezydenta) obliczył, że oznacza to, że każdy Amerykanin – łącznie z noworodkami – będzie musiał schudnąć o 393 funty. Po naszemu – 178 kilo.

I jeszcze trochę o magii liczb: prezydent Trump zaproponował wprowadzenie kredytów hipotecznych na 50 lat. Tym razem „Washington Post” obliczył, że przy zakupie domu za 400 tys. dolarów, przy 10-procentowej wpłacie własnej, kredyt na 30 lat oznacza raty rzędu 2300 dolarów miesięcznie. Przy 50 latach – o 300 dolków mniej. Ale mówimy tylko o kapitale. A teraz będzie o odsetkach. Przy średnim oprocentowaniu 6 proc., za 400 tys. na 30 lat klient zapłaci w odsetkach drugie tyle. Przez 50 lat koszt kredytu wzrasta do ponad 800 tys. dolarów. Jak zrodził się ten znakomity pomysł? Otóż niejaki Bill Pulte, dziedzic deweloperskiego imperium Pulte Group, mianowany przez Trumpa szefem Federalnej Agencji Finansowania Mieszkalnictwa (bo przecież tu nie może zachodzić żaden konflikt interesów) pojawił się na polu golfowym Trumpa w Palm Beach z plakacikiem, na którym widniały dwa portrety: po lewej był Roosevelt, po prawej Trump. Przy Roosevelcie był napis: „30-letni kredyt hipoteczny” – a przy Trumpie – „50-letni kredyt hipoteczny”. Na górze zaś: „Wielcy amerykańscy prezydenci”. 10 minut później Trump opublikował plakat na swoim profilu na Truth Social. Bo inspiracje do przemyślanej dalekowzrocznej polityki można znaleźć w każdym miejscu.

Szóstka demokratycznych członków kongresu i senatu – byłych żołnierzy i agentów różnych trzyliterowych służb – opublikowała filmik, w którym wzywa mundurowych wszelkiego rodzaju do niewykonywania nielegalnych rozkazów. Nie sprecyzowali, o jakie rozkazy chodzi, ale rozliczne figury wojskowe – w tym szef Południowego Dowództwa US – zgłaszają wątpliwości co do faktu, iż przezydent uczynił z amerykańskich żołnierzy seryjnych morderców masowo zabijających wenezuelskich rybaków, których Trump, bez jakichkolwiek dowodów, okrzyknął przemytnikami narkotyków. Od września amerykańscy wojacy zamordowali w ten sposób co najmniej 83 osoby. Sekretarz obrony (ps. „sekretarz wojny”) Pete Hegseth bardzo się zdenerwował i postanowił pokazowo ukarać senatora Marka Kelly’ego, bo uznał go za szczególnie niebezpiecznego dla obronności Ameryki. Kelly jest bowiem nie tylko weteranem lotnictwa marynarki wojennej, który ma na swoim koncie ponad 30 lotów w warunkach bojowych, ale w dodatku, o zgrozo, kosmonautą, który pilotował wahadłowce kosmiczne Endeavour i Discovery. Wobec czego Hegseth postanowił przywrócić 61-letniego senatora do czynnej służby, żeby postawić go przed sądem wojskowym. Czy będzie się domagał rozstrzelania, póki co nie zdradził.

AWŁ

eprasa.pl a1d53bfa81

Dajcie mi kierowcę

W czyim interesie jest zaostrzanie przepisów drogowych?

Policja drogowa zarabia dla budżetu jakieś 1,3 mld zł rocznie. Wielu praktyków sądzi, że drugie tyle trafia do kieszeni policjantów. Zakładając jednak, że do kieszeni płaci się 2–3 razy mniej, niż wynika to z taryfikatora, to wychodzi, że do kieszeni funkcjonariuszy trafia około 500 mln zł. Ponieważ kontrolami kierowców zajmuje się 5 tys. policjantów, to łatwo policzyć, że warto być funkcjonariuszem, bo średnie 100 tys. zł na gliniarza drogowego na rok w łapę to całkiem miły dodatek do pensji.

Rośnie, czyli spada

Rząd i drogówka mają więc wspólny interes, żeby kierowców karać ostrzej. Oczywiście w imię poprawy bezpieczeństwa na drogach, zmniejszania liczby wypadków i takich tam bzdetów opowiadanych przez policjantów, polityków i bezkrytycznie powtarzających te bajki dziennikarzy.

Statystyka tymczasem pokazuje, że na drogach nie dzieje się nic, co wymagałoby rewolucji w obowiązujących przepisach. Od lat stale i systematycznie spada tak liczba wypadków, jak i poszkodowanych w nich osób. Zabitych również. Rośnie natomiast apetyt budżetu na kasę.

Polujący na kierowców policjanci nie muszą, parkując w miejscach niedozwolonych, włączać koguta. Mogą stanąć na chodniku czy wyspie przystankowej i suszyć. Nawet jak ich bryczka wcale nie wygląda na auto policyjne. Uzasadnieniem tego jest efektywniejsza kontrola. Przekaz jest jasny – policjanci stają tam, gdzie wiedzą, że kogoś złapią.

A złapią na pewno. Nie po to komendanci drogówki co rok dostają plany finansowe wymagające wyciągnięcia z mandatów więcej niż wcześniej. Funkcjonariuszy obowiązuje rozkaz prosty i czytelny: w każdym zatrzymanym wozie trzeba znaleźć coś, za co delikwent zapłaci.

Hakiem może być wszystko. Kierowca, zatrzymany ot tak, do rutynowej kontroli, który nie będzie trzymał obu rąk na kierownicy albo co gorsza w czasie kontroli wyjdzie z samochodu, dostaje 500 zł mandatu. A ponieważ nie da się trzymać obu rąk na kółku, gdy jedną z nich otwiera się szybę, żeby usłyszeć policjanta, to powód do ukarania już jest. Drugi też, bo gliniarzowi trzeba jakoś podać dokumenty.

Wyciek

I nie ma sposobu, żeby zakwestionować mandat. Bo co prawda w radiowozie cały czas działa kamera, ale jest to tak wymyślone, że od tyłu, z jej obiektywu, nie widać rąk kierowcy. Tak samo z kamery, którą wielu kierowców ma zamontowaną w swoim samochodzie. Ona widzi to, co za szybą. Czyli na wejściu mandat już się ma.

Drogówka może też sprawdzać, czy układ kierowniczy nie ma luzów albo czy w dowodzie rejestracyjnym jest atest na przyciemniane szyby. No i coś co, co każdego posiadacza klimatyzacji od razu latem czyni winnym – czy nic nie wycieka. Czyli olej, płyn hamulcowy albo paliwo. Ale przecież żaden policjant nie będzie się wczołgiwał pod auto. On kucnie, zobaczy, że coś kapie i wykroczenie już ma. A że to coś to po prostu woda z klimatyzatora? Taki detal to kierowca może udowodnić wtedy, gdy niesprawny z powodu wycieków samochód odstawi lawetą do stacji obsługi i otrzyma tam stosowne zaświadczenie o sprawności pojazdu. A będzie ono konieczne do odzyskania w urzędzie zatrzymanego z powodu niesprawności dowodu rejestracyjnego.

Myk na wyciek, kosztujący kierowcę parę dni bez samochodu, kasę dla laweciarza, szmalec za badanie techniczne i opłatę za odzyskanie dowodu rejestracyjnego, jest niezwykle dla właścicieli wozów przekonujący. I nader motywujący do przyjęcia oferty funkcjonariusza, znaczy 50 zł dla państwa – bo mandat trzeba wystawić, wszak czynności są filmowane przez policyjną kamerę – oraz 2–3 stówy do kieszeni pana policjanta. Kierowca i tak jest na plusie, bo 500-złotowy mandat i korowody z zatrzymaniem dowodu na pewno wyniosłyby więcej niż tysiaka.

Od kilku lat policjanci podczas kontroli mogą wykorzystywać dymomierze (używane do diesla) i analizatory spalin (używane do wszystkich silników nieelektrycznych). Ale komu chciałoby się kucać i wciskać coś do rury wydechowej? Przecież funkcjonariusz może zatrzymać dowód rejestracyjny również wtedy, kiedy nie dysponuje urządzeniem do pomiaru jakości spalin. Wystarczy, że coś mu się nie widzi. I wtedy – zgodnie z art. 132 prawa o ruchu drogowym – w razie uzasadnionego podejrzenia funkcjonariusz drogówki ma prawo zatrzymać dowód rejestracyjny oraz skierować pojazd na dodatkowe badania techniczne. Kierowca zaś ma prawo negocjować.

Eksperci od spalin twierdzą, że pojazdy sprzed dwóch czy trzech dekad emitują tyle samo zanieczyszczeń co dwa tuziny produkowanych obecnie aut. I dlatego w pełni uzasadnione podejrzenie wzbudzi w każdym policjancie już wiek auta.

Polowanie na spaliny nie ma oczywiście celu finansowego. Komenda Główna Policji uwielbia zatem powtarzać, że wydechy bada się dlatego, że „z powodu smogu i powikłań wynikających ze złej jakości powietrza w Polsce umiera 45–50 tys. osób rocznie". O tym, że samochody odpowiadają za ledwie 4 proc. tych zanieczyszczeń, komunikaty nie wspominają.



Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Na liczniku

Czas jakiś temu do standardowych zachowań w czasie kontroli drogowej doszło obligatoryjne sprawdzanie przez policję liczników. Tymczasem jeśli auto przyjeżdża z zagranicy z przekręconym licznikiem, to jego przekręcony stan w Polsce ląduje w bazie CEPiK. Danych z innych krajów Polska nie ma, więc historia licznika zaczyna się dopiero w Polsce. I jak policjant spisze ją z deski i wyjdzie mu, że jest mniej niż według CEPiK, to zaczyna być niewesoło. A nie daj Bóg, gdy komuś kokpit się spali, a używany, kupiony na Allegro, pokaże coś zupełnie innego niż jest w CEPiK-u.

Rozbieżność licznika z wpisem daje podstawę do prowadzenia postępowania karnego w oparciu o podejrzenie popełnienia przestępstwa. A zgodnie z kodeksem karnym za dokonywanie korekty licznika grozi kara do pięciu lat odsiadki. Spisywanie stanu licznika należy do stacji robiących w aucie przegląd techniczny. I jak się panu mechanikowi omsknie palec, to zaczynają się cuda.

Samochód trafia na policyjny parking jako dowód przestępstwa. Właściciel ma postawiony zarzut. Policjanci muszą sprawdzić milion rzeczy, bo trzeba udowodnić, kto i z czyją pomocą dokonał przestępstwa. Prokurator ma przerąbane, bo to wszystko trzeba zebrać do kupy i przedstawić w sądzie. A z reguły nie ma czego przedstawiać. Właściciel powie, że nie wie, o co chodzi, cofanie liczników nie zostawia namiarów na tego, kto to robi, więc nie ma szans na skazanie kogokolwiek.

Nie wspominając już o tym, że z miesięcznych doświadczeń policji wynika, że większość błędów brała się ze złego wpisania do CEPiK czy to przez przegląd, czy panią w starostwie, która rejestrowała samochód. A przecież wystarczy, że do rzeczywistego stanu licznika wynoszącego 120 tys. km ktoś z przodu omyłkowo dopisze cyfrę „1" i media zachwycą się sukcesem policji, która złapała auto z przekręconym na milion kilometrów licznikiem.

Akcja ze spisywaniem liczników najbardziej bezsensowna jest dla policjantów. Bo nie daj Boże trafią na niezgodność i mają przerąbane: zamiast zbierać mandaty dla siebie i państwa, będą kwitli w korytarzach komend, prokuratur i sądów, wiedząc, że nie mają szans na wykrycie kogoś, kto cofnął licznik,

bo to zrobiono dawno i nie w Polsce. A na dodatek najbardziej poszkodowani na tym są ci, których policja ma ścigać, czyli właściciele aut z przekręconym licznikiem.

Na wszelki wypadek funkcjonariusze drogówki starają się, aby wszystkie kontrole odbywały się pod pozorem przesiewowych badań trzeźwości, podczas których przebiegów sprawdzać nie muszą.

Dobro wspólne

Teraz za przekroczenie prędkości o 50 km/h w terenie zabudowanym odbiera się prawo jazdy, za chwilę ma tak być na wszystkich drogach poza ekspresówkami i autostradami. Z takim fantem drogówka nic zrobić nie może, bo zapis w komputerze radaru jest de facto nieusuwalny. W łapę nie ma więc jak wziąć. Dlatego gliniarze na taki myk łapią tylko, by podnieść statystyki i nakarmić media informacją o kolejnych tysiącach osób z odebranymi uprawnieniami do kierowania pojazdami.

Na dodatek wchodzi europejski przepis likwidujący bezterminowe prawa jazdy. Teraz kierowcy będą musieli przechodzić płatne – a jakże – badania co 15 lat. Ci, którzy tego nie zrobią, nie będą mogli zasiąść za kierownicą. I dzięki temu liczba bezkarnych z powodu nieposiadania prawa jazdy zwiększy się o kolejne dziesiątki tysięcy.

Ale oni drogówki i państwa nie interesują. Koszty ich łapania i karania przewyższają wszak znacznie to, co zapłacą w ramach ewentualnej grzywny. I pewnie dlatego, mimo że policja doskonale wie, komu prawko odebrano, niemal nic z tym nie robi. Bo drogówka nie jest od bezpieczeństwa na drogach. Ono rośnie dzięki kolejnym nowoczesnym inwestycjom. Ona jest od dbania o budżet państwa i swój.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Kraków miał już dość huku i błysku, więc prezydent Aleksander Miszalski, w przypływie geniuszu, zakazał używania fajerwerków, petard i innej pirotechniki przez cały rok. Powód? Stres u psów i uchodźców z Ukrainy. Szlachetne, doprawdy. Ale Miszalski okazał się też sprytnym graczem. Zakaz wejdzie w życie dopiero 31 grudnia 2026 r., czyli praktycznie 1 stycznia 2027. Co to oznacza? Prezydent Miszalski gwarantuje, że Kraków przetrwa do 2027 r. Ależ spektakularny optymizm!

■ Jak doniósł regionalny portal Warmii i Mazur Olsztyn.com, na Rondzie Ofiar Katastrofy Smoleńskiej w Olsztynie doszło do sytuacji, którą można by uznać za profanację albo świętokradztwo. Na tym właśnie rondzie kierowca… zwalił gruchę. Niestety prawda jest mniej sensacyjna, choć o wiele bardziej brzemienna w skutkach. Kierowcy betonowozu odpadł bęben, czyli gruszka służąca do przewozu ciekłego betonu. Oderwana grucha zatarasowała rondo i sparaliżowała ruch w całym mieście. Czyli żadnego świętokradztwa. Po prostu zwyczajna katastrofa drogowa na rondzie katastrofy lotniczej.

■ Do dramatycznych – a według niektórych wręcz terrorystycznych wydarzeń – doszło w Osielsku. Przedszkole zostało dwukrotnie ostrzelane. Czy to Rosjanie? A może ktoś, kto bardzo chciał, żeby to byli Rosjanie? Na razie pewne jest tylko to, że w środku nie było dzieci, bo przedszkole akurat nie pracowało. Nikt nie ucierpiał, co dla mediów jest klasyczną porażką dramaturgiczną. A sam atak? Plastikowe kulki albo wiatrówka. Policja prowadzi postępowanie i szuka sprawcy, sprawczyni albo całego komanda. Szukajcie, a znajdziecie, jak to w Piśmie było napisane.

■ Podobnie jak sezon wakacyjny tradycyjnie otwiera pierwsze utonięcie, tak sezon grzewczy można uznać za rozpoczęty. Jest pierwszy trup od czadu. W miejscowości Podwilcze (pow. białogardzki) zmarł 65-latek zatruty tlenkiem węgla. Źródłem czadu był piec kaflowy. Brat znalazł mężczyznę nieprzytomnego i próbował go ratować, ale bez skutku. Straż pożarna apeluje o montowanie czujek czadu za kilkadziesiąt złotych. Słusznie. Ale dla 65-latka z Podwilcza ta rada jest już jak psu na budę – i to taką bez komina.

■ W mediach trwa właśnie narodowy sezon polowania na uciekinierów z pogrążonej w wojnie Ukrainy. Policja i wymiar sprawiedliwości dokładają do tego swoje trzy grosze. W Wolsztynie jednego dnia zapadły dwa wyroki wobec dwóch pijanych kierowców z Ukrainy. Pierwszy, 34-latek w BMW, miał prawie 2 promile, spoeodował małą kolizję i prowadził mimo wcześniejszego zakazu. Drugi, 58-letni kierowca Dacii, z 1,65 promila, jechał tak stylowo, że inni kierowcy zadzwonili po gliny.



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Obaj zostali skazani: BMW – sześć miesięcy więzienia i dożywotni zakaz jazdy, Dacia – siedem miesięcy w zawieszeniu i zakaz na cztery lata. Państwo polskie wzięło im też równowartość aut, żeby wiedzieli, że gościnność ma swoją cenę. Policja złożyła wnioski o deportację. Za granicą czeka ich już tylko rozstrzelanie pod Donbasem. Niestety, Polska gościnność kończy się tam, gdzie zaczyna alkomat.

■ Karma wraca z kierunku, z którego nikt by się nie spodziewał. Z Norwegii. Otóż na drodze RV52 kierowca ciężarówki ustawił pojazd w poprzek jezdni, blokując wszystko, po czym… poszedł spać w kabinie. Norweski dziennik „Aftenposten" aż się zagotował z oburzenia. Świadek, przekonany że to jakiś dramat, zapukał do kabiny. W środku pełen spokój: kierowca tylko zasłonił firanki i spał dalej. Dopiero policja go obudziła. Wyszło na jaw, że 50-letni Polak miał ponad 2 promile. Norwegowie od razu wytoczyli ciężkie działa: zarzuty, obligatoryjne więzienie, zakaz jazdy do pięciu lat, grzywna jak pół wypłaty skandynawskiego menedżera. Ale bądźmy poważni: skoro spał, to nie prowadził. A kto z nas nigdy nie zaparkował auta w poprzek jezdni, niech pierwszy rzuci kamieniem. Jakoś nie widzę tych kamieni.

■ Generał Arkadiusz Widła, szef od kontroli w MON, wpadł w Hrubieszowie na minę. A konkretnie na 15-latka na niezarejestrowanym motocyklu. Chłopak połamał rękę, generał tłumaczy, że to wina gówniarza. Świadkowie widzieli to inaczej. Ale to nie koniec atrakcji! Generał, zamiast przeprosić i zapłacić, odwiedził matkę poszkodowanego i – jak twierdzi matka – zaczął grozić i naciskać, żeby syn wziął winę na siebie. Bo generał ma wpływy, rozumiecie? Ktoś tu pluje na generalski mundur! I to z niezarejestrowanego motocykla, kurwa mać!

■ Zakopane tonie w śniegu! Miejscami nawet 25 cm świeżego puchu. Idealne warunki do jazdy na nartach, gdyby nie fakt, że TOPR ogłosił drugi stopień zagrożenia lawinowego, a RCB wydało alert o intensywnych opadach. No i wyciągi jeszcze nie działają. Z ostatniej chwili: nie tylko Zakopane, Warszawa też.

■ Jak doniósł „Tygodnik Podhalański", który najwyraźniej nie ma już o czym pisać, na Podhalu (powiaty tatrzański, nowotarski oraz suski) od 1 stycznia do 20 września 2025 r. sprzedano ponad 1,5 mln małpek, z czego prawie milion w samej gminie Zakopane. Lokalni pismacy twierdzą, że małpki kupuje się głównie rano, co ma dowodzić, że to nie turyści. A my przypominamy, że pora dnia nie ma nic wspólnego z turystyką i pijaństwem, chyba że ktoś uważa, że góry są czynne tylko od 12.00 do 18.00. Rozwiejmy więc mity: przy liczbie mieszkańców trzech powiatów wynoszącej ok. 340 tys. każdy z nich kupił statystycznie 4–5 małpek w ciągu dziewięciu miesięcy. Średnia jak średnia – czyli niemowlęta piją tyle samo co lokalni miłośnicy porannego korkociąga. Ale czy to powód do niepokoju? Zwłaszcza że od każdej małpeczki samorządy dostają złotówkę.

RJ

PS Informacje powyższe pochodzą z jakichś gazetek prowincjonalnych, więc powiem jak majster na budowie: „Może tak było, może nie było. My tego nie kuliśmy, nie murujemy pod tym podpisu. Jakby coś tu było nie halo, to nie nasza robota. My się od tego odcinamy jak od krzywego szalunku".

eprasa.pl a1d53bfa81

Prawo stoi ponad wolą zmarłego

Testament rażąco sprzeczny

Pani Hela miała 82 lata, święty spokój za dewizę i dom na warszawskim Żoliborzu, który pamiętał czasy, gdy tramwaje miały jeszcze konduktorów. Wśród sąsiadów uchodziła za kobietę z zasadami. Powtarzała, że rodzina to skarb. Aż do dnia, w którym stwierdziła: „Macie, tylko stawiam warunek. Po mojej śmierci ten łobuz nie dostanie nic”.

Uporczywie niedopełniony

Łobuzem był jej syn Jan, lat 50. Dla znajomych – ambitny, błyskotliwy, po rozwodzie. Dla matki – zawód życia.

Zaczęło się od drobiazgów: pożyczonych pieniędzy, które miał oddać „po świętach”. Potem zniknęła biżuteria po przodkach. A wreszcie seria telefonów z banku: „Pani syn wziął kredyt i podał pani adres jako korespondencyjny”. Helena, wtedy jeszcze ufna, tłumaczyła: „to pewnie pomyłka”. Ale pomyłka wracała w cyklicznych odstępach z wezwaniem do zapłaty, z sądu, od komornika.

Po kilku latach było już gorzej. Syn nie odwiedzał jej nawet na święta. Raz przyszedł tylko po to, by podpisała pełnomocnictwo do sprzedaży działki po dziadkach. Potem okazało się, że sprzedał ją, a pieniądze „przepadły na inwestycji”. Pani Helena powiedziała wtedy jedno: „Nie chcę cię znać. I nie chcę, żebyś po mnie dostał choć złotówkę”.

I zrobiła to, co – w jej przekonaniu – było ostatecznym zabezpieczeniem przed przyszłą wojną. Poszła do notariusza i wydziedziczyła syna. W testamencie zapisała mieszkanie i oszczędności córce Marii i synowi Andrzejowi. W punkcie trzecim aktu, sporządzonym z całą prawniczą precyzją, znalazły się słowa: „Wydziedziczam mojego syna Jana z powodu uporczywego niedopełniania wobec mnie obowiązków rodzinnych, braku pomocy w chorobie, rażącej niewdzięczności oraz dopuszczania się względem mnie czynów sprzecznych z zasadami współżycia społecznego”.

To brzmiało poważnie. I było, bo właśnie takie powody przewiduje art. 1008 kodeksu cywilnego. Zgodnie z nim wydziedziczyć można tylko wtedy, gdy uprawniony do zachowku postępuje w sposób rażąco sprzeczny z zasadami współżycia społecznego wobec spadkodawcy, dopuścił się względem niego przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu, wolności lub rażącej obrazy czci i uporczywie nie dopełniał względem niego obowiązków rodzinnych.

Helena dopełniła wszystkiego. Miała nawet zeznania sąsiadki, kwity od windykatorów, wydruk SMS-ów i zawiadomienie o znieważeniu słownym. Wydziedziczenie było czyste, formalne, notarialne.

Bezgrzeszna wina

Kiedy zmarła, dzieci przyjęły testament z ulgą.

„Mama załatwiła to z głową” – powiedziała Maria. „Nie będzie się szarpał o pieniądze”.

Ale sąd widział to inaczej. Bo w polskim prawie testament to dopiero początek. Po pogrzebie Jan – ten wydziedziczony – pojawił się niespodziewanie u siostry z miną człowieka, który wie, że ma asa w rękawie. – Ja po mamie nie chcę nic – powiedział. – Ale mam dwoje dzieci. One są niewinne. Babcia ich lubiła, nigdy nie miała pretensji. One chcą tylko tego, co im się należy.

Maria oniemiała. – Jak to? Przecież mama cię wydziedziczyła!

– Mnie, nie ich.

I tu zaczyna się polska historia o tym, że to, co człowiek uznaje za zabezpieczenie, w polskim prawie często okazuje się pustym gestem.

Zgodnie z art. 1011 kodeksu cywilnego, jeżeli osoba uprawniona do zachowku, czyli np. syn, została skutecznie wydziedziczona, jego zstępni, czyli dzieci, wnuki, wchodzą w jego miejsce i nabywają prawo do zachowku w takim zakresie, w jakim przysługiwałby on wydziedziczonemu, gdyby nie został wydziedziczony.

W praktyce oznacza to, że wydziedziczenie działa tylko wobec jednej osoby – tego, kto „zawinił”. Ale nie obejmuje jego dzieci, chyba że one również popełniłyby wobec babci coś równie niefajnego. A że dzieci były nieletnie, a babcia jeszcze rok przed śmiercią przesyłała im pocztówki z wakacji, nikt nie mógł zarzucić im nic.

Maria i Andrzej nie dowierzali. Poszli do prawnika. Ten rozłożył ręce: – Pani matka wydziedziczyła syna zgodnie z prawem. Ale jego dzieci mają swoje niezależne prawo. Sąd je uwzględni.

Sprawa trafiła na wokandę. Po stronie pozwanych – rodzeństwo, po stronie powodów – małoletni wnukowie pani Heleny reprezentowani przez swojego ojca.

Rodzeństwo próbowało wszystkiego: – Mama nie chciała, żeby ten człowiek albo jego rodzina cokolwiek dostali. Jan był agresywny, oszukiwał, wykorzystywał ją finansowo. W testamencie jasno napisała: wydziedziczam go z powodów rażących.

Sąd przyznał rację co do faktów. Ale – jak powiedziała sędzia w uzasadnieniu – „prawo rodzinne i spadkowe nie przewiduje dziedziczenia grzechów”. Dzieci wydziedziczonego nie odpowiadają za jego czyny, nie przejmują po nim winy, tylko jego udział.



Rys. TOMASZ WIATER

A zatem, choć matka mogła wydziedziczyć syna, to nie mogła wydziedziczyć jego dzieci. Zgodnie z przepisami wnukom przysługuje zachowek – czyli ułamek wartości tego, co należałoby się ich ojcu. W tym przypadku nie po połowie tego, co gwarantuje zachowek dorosłemu, ale po 75 proc. wartości jego zachowku na każde z dzieci, ponieważ były małoletnie i niezdolne do pracy.

Sąd obliczył wszystko skrupulatnie: wartość majątku po pani Helenie, udział ustawowy syna, należny zachowek, podział na dwoje wnuków. Wyszło po 180 tys. zł. na dziecko.

Wyrok był jednoznaczny: „Zasądza się od pozwanych Marii K. i Andrzeja K. na rzecz powodów – Anny i Piotra K., reprezentowanych przez ojca Jana K. – kwoty po 180 tys. zł. wraz z odsetkami ustawowymi”.

Wola nieabsolutna

Maria siedziała po wyjściu z sądu z załzawionymi oczami. „Mama wszystko przemyślała, miała powody, miała dowody, a to i tak nie ma znaczenia”. Prawnik odparł spokojnie: „Wola zmarłego jest ważna, ale nie absolutna. Prawo stoi na straży zasady, że bliscy nie mogą być całkowicie pozbawieni udziału w spadku. Nawet jeśli ich rodzic został wydziedziczony”.

I to jest polski paradoks: możesz kogoś wydziedziczyć, możesz wskazać najcięższe przewinienia, ale nie możesz usunąć jego dzieci z systemu zachowku. One mają prawo niezależne, czyste, chronione. A że całą kasę dostanie do dyspozycji ich wydziedziczony opiekun...

Ustawodawca uznał, że wydziedziczenie to kara indywidualna za konkretne rażące czyny wobec spadkodawcy. Nie można jej rozciągać na rodzinę, bo dzieci nie odpowiadają za grzechy ojca. Tak stanowi prawo. Dla Marii i Andrzeja – gorycz. Dla Jana – triumf. Dla praworządności – zwycięstwo sprawiedliwości systemowej nad wolą człowieka.

I choć wydziedziczenie – w powszechnym przekonaniu – to ostatnie słowo rodzica, który nie chce, by jego majątek trafił w „niegodne ręce”, to w polskim systemie prawnym nie jest to gwarancja, tylko formalność. I to taka, która nie działa wobec wnuków, nie działa wobec dzieci wydziedziczonego, nie ma mocy wobec dalszych zstępnych. Tak więc to, co wydaje się „twardym zabezpieczeniem”, jest w praktyce jak tytanowa zasuwka w drzwiach z kartonu.

Pani Hela myślała, że testamentem naprawi błąd macierzyństwa i ochroni inne dzieci przed krzywdą. Nie wiedziała, że w Polsce wola zmarłego to nic nieznaczący głos w chórze przepisów.

Bo u nas można wyrzec się syna, zapisać wszystko innym dzieciom, zbudować testament jak fortecę, a prawo i tak znajdzie szczelinę. I wtedy nie pomoże ani notariusz, ani świadkowie, ani wola spisana drżącą ręką. Bo dla prawa nie liczy się wola człowieka, tylko litera kodeksu.

TOMASZ BOROWIECKI

Wojsko prezydenta, wojsko premiera

Uśmiechnięta koalicja z przybudówkami trzęsie się z oburzenia, że prezydent Karol Nawrocki nie chciał podpisać nominacji oficerskich, w tym i tych generalskich, ludziom służb. Tych wojskowych też. I to w przeddzień 11 listopada, czyli corocznych narodowych ejakulacji.

Zawodowy komentariat umocowany w pisowskich mediach twierdzi, że to z powodu Sławomira Cenckiewicza, szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, pozbawionego przez ABW dostępu do tajemnic najwyższego stopnia, natowskich również. Druga strona temu jakoś mocno nie zaprzecza, twierdząc przy tym, że Nawrocki i tak dostaje na biurko wszystko, co najważniejsze, i żadna najtajniejsza z tajemnic dotycząca bezpieczeństwa państwa nie jest mu obca. Innymi słowy: prezydent wie tyle samo co Tusk.

Może tak, może nie, tego się nie dowiemy. Wiemy natomiast, że kiedy Kaczyński namaścił Nawrockiego na kandydata na stolec prezydenta RP, najwyższa generalicja bardzo mocno się podzieliła. Jedna grupa skupiona jest wokół Sztabu Generalnego WP z jej szefem, pisowskim nominatem, generałem Wiesławem Kukułą, druga – wokół Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych, bliskiego rządowi. I ta obecna nawalanka to pokłosie tej pierwszej.

Ci drudzy, w osobie jej szefa generała broni Marka Sokołowskiego, o takim Nawrockim nigdy nie mieli dobrego zdania. Dla nich to tylko kibol przebrany w garniturek. I chociaż sam Sokołowski, komandos i instruktor judo (3 dan) w młodości nie należał do grzecznych chłopców, to on i jego ludzie wspierali jednak w wyborach lalusiowatego Rafała Trzaskowskiego. Z jego potencjalnym zwycięstwem wiązali nadzieje na zmianę przepisów o powoływaniu szefów Sztabu Generalnego, żeby taki Kukuła, też zresztą komandos, dostał jak najszybciej kopa w tyłek.

Kukuła zresztą po zaprzysiężeniu Nawrockiego stał się jego uchem w wojsku. Sam też ostatnio gromadzi wokół siebie ludzi bezwzględnie lojalnych, jak np. płk Marek Pietrzak, kiedyś rzecznik Wojsk Obrony Terytorialnej, 20 października awansowany na usta Sztabu Generalnego.

Na samym dole trepowiska też dzieją się interesujące rzeczy. Mamy na przykład ciąg dalszy sprawy, o której pisaliśmy w nr. 39/2025: żołnierzyka, który w okolicach Mielnika

Trepowisko grzęzawisko


Rys. WIDGET

1 stycznia ostrzelał po pijaku auto z ojcem i nastoletnią córką. Pod koniec października prokuratura zawnioskowała do sądu o umorzenie sprawy dotyczącej 25-letniego Rambo. „Przygotowana na tej podstawie opinia biegłych wskazuje, że w chwili czynu był niepoczytalny,

a zatem nie mógł rozpoznać znaczenia swojego zachowania lub nim pokierować, a to wyłącza odpowiedzialność karną. Dlatego prokuratura złożyła wniosek o umorzenie sprawy i zastosowanie wobec podejrzanego środka zabezpieczającego w postaci pobytu w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym” – ogłosił w Radiu Białystok prokurator Daniel Brodowski, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Olsztynie.

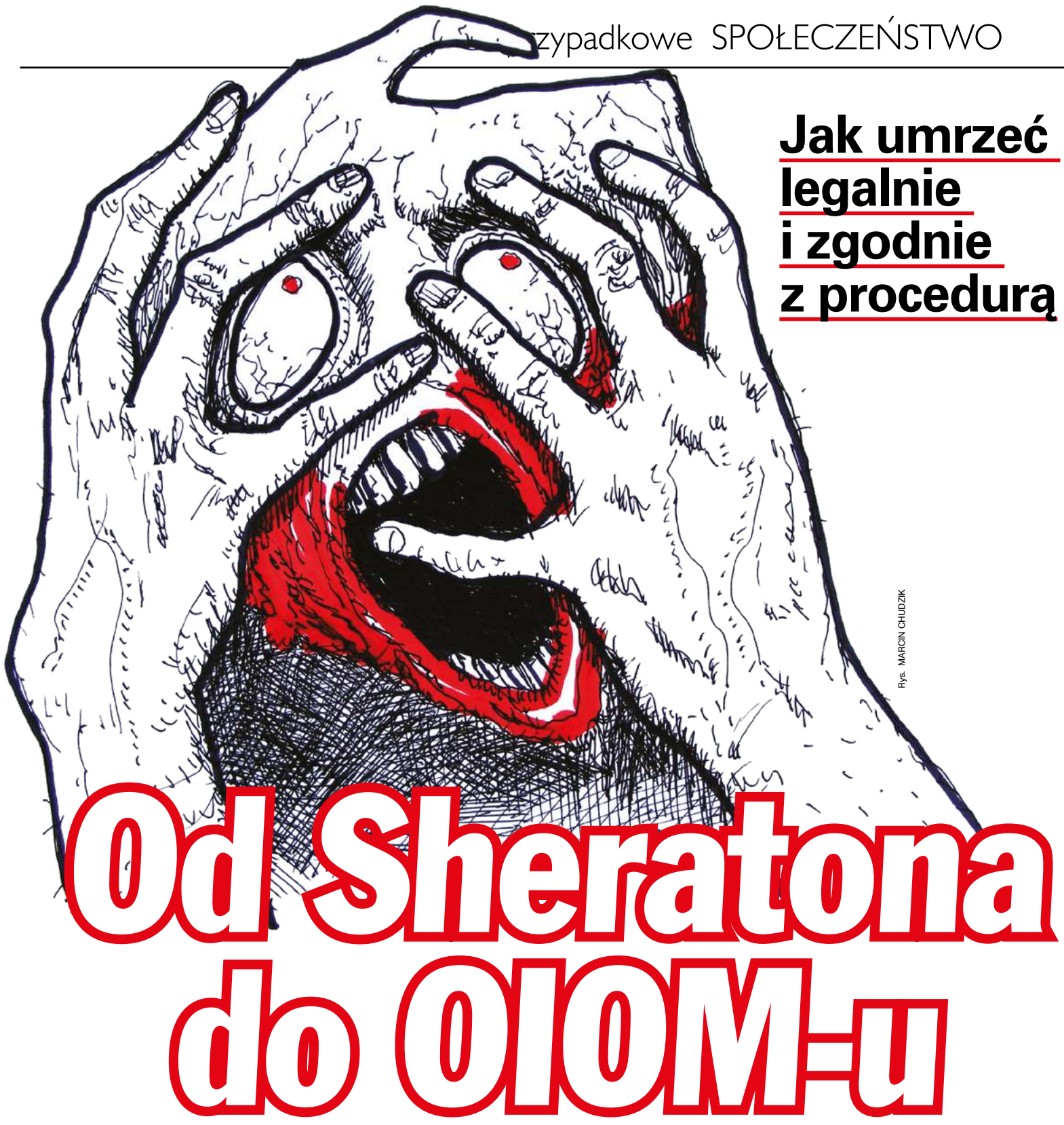
Wniosek rozpozna Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie, wobec czego gotowi jesteśmy postawić dolary przeciw orzechom, że niedoszły zabójca trafi najpierw na pół roku do psychiatryka. A potem sprawa przyschnie.

Słyszymy skądinąd, że wśród wojaków, którzy mają bronić granicy przed nawałą „ciapatych”, wielu jest takich jak nasz niepoczytalny strzelec: mających problem z alkoholem i nieszczególnie przykładających się do roboty. Toteż od czasu do czasu są oni zastępowani przez tych, którym się naprawdę chce.

Kiedy żołnierze i funkcjonariusze, widząc na horyzoncie przemieszczających się już po naszej stronie migrantów, odwracają wzrok, bo nie chcą mieć kłopotów z sądami lub po prostu mają to wszystko w dupie, do akcji wchodzą dużo młodsi koledzy generałów Sokołowskiego i Kukuły. To legendarne czerwone berety, które są bardzo skuteczne w wyłapywaniu nieszczęśników o innej karnacji skóry i przekazywaniu ich straży granicznej, która dalej stosuje niesławne push backi. I nic tu raczej nie zmieni ostatni wyrok uniewinniający legendarnego skądinąd Władysława Frasyniuka, którego prokuratura oskarżyła o znieważenie i pomówienie obrońców granicy. Frasyniuk powiedział, że nie zasługują oni na to, żeby nazywać ich żołnierzami: „Ja mam wrażenie, że to jest wataha. Wataha psów, która otoczyła biednych słabych ludzi. Tak nie postępują żołnierze. Śmieci po prostu”. Proces był niejawny, podobnie jak uzasadnienie wyroku, ale Frasyniuk mówi, iż sąd uznał inkryminowaną wypowiedź za „element ważnej debaty publicznej, która toczyła się i nadal toczy w kraju”.

JMP

eprasa.pl a1d53bfa81



Rys. MARCIN CHUDZIK

Od Sheratona do OIOM-u

Jak umrzeć legalnie i zgodnie z procedurą

Sąd, jak to sąd, nie mógł pozostać obojętny wobec cierpienia kobiety, która miała pełnomocnika. Klepnięto więc. Zabezpieczono. Ustanowiono. Kornel miał zabezpieczać przyszłość swoich dzieci, tracąc własną.

Ta historia łzy wyciska. Zapewniam, że jest całkiem prawdziwa, choć personalia zmienione. Niektóre didaskalia pozostawiłem bez retuszu, żeby nikt mi potem nie zarzucił, że to bajka. Inne muszę przemilczeć, bo dotyczą osób mniej lub bardziej powszechnie znanych.

Otóż pan Kornel, tak go nazwijmy, to człowiek, który nigdy uczciwie nie pracował. Owszem, coś tam zawsze robił, tyle że nigdy nie było wiadomo, co dokładnie, dla kogo i za ile. Miał pieniądze, ale nie z pracy. Raczej z urodzenia, z koneksji, z czasów, gdy dolary otwierały każde drzwi.

Dla przykładu: jego ciotka – może ją widzieliście w pierwszej scenie „Prawa i pięści", tej z Gustawem Holoubkiem, gdzie stoi bosa w wagonie z osadnikami, z warkoczem grubym jak lina okrętowa, to właśnie ona. Jej kariera filmowa się skończyła, zanim się zaczęła, ale życie napisało jej sequel. Związała się z pewnym panem z Ameryki i odtąd los Kornela nabrał przyśpieszenia. Pan z Ameryki był nie byle kim. Gdy wyjdziecie z Dworca Centralnego w Warszawie i spojrzycie na te dwie wieże, które sterczą nad Alejami, to wiedzcie, że jedna należy do spółki, której współudziałowcem był właśnie ów amerykański przyjaciel cioci z warkoczem. Tak, ten sam, który w latach 90. twierdził, że w Polsce można dorobić się na wszystkim, nawet na uczciwości, byle tylko nie próbować jej praktykować.

Między Hiltonem a Białym Domem

Kornel przez większość życia zajmował się „obsługą interesów" tego pana z Ameryki, który – co można zobaczyć na YouTubie – w Białym Domu ściskał rękę prezydentowi Komorowskiemu i temu drugiemu, który tam mieszka na stałe. Praca u Amerykanina była, jak mawiał Kornel, mordercza. Bez przerwy w gotowości, jak agent CIA. Trzeba było limuzynę podprowadzić, garnitur na bankiet odświeżyć, ciocię z warkoczem dowieźć, a w razie czego samemu zrobić z siebie beczkę śmiechu, żeby rozluźnić atmosferę przy stole, przy którym i tak nikt nie wiedział, z czego się śmieje. Życie Kornela toczyło się między Sheratonem a Hiltonem – geografia ludzi, którzy mają pieniądze, a nie mają domu. Na śniadanie szwedzki stół, na obiad catering z Francji, a na kolację… kryzys egzystencjalny w pięciogwiazdkowym wydaniu. Cysterny szkodliwego alkoholu płynęły szerokim strumieniem: whisky z Wysp, wódka z Mazowsza, koniaki z czasów, gdy jeszcze ktoś miał sumienie. Kornel jadł, pił i śmiał się w rytmie cudzych toastów przekonany, że jest kimś ważnym, bo przecież znał kogoś, kto znał kogoś, kto widział Komorowskiego w Białym Domu. Często powtarzał, że ciężko pracuje „na wizerunek Polski za granicą". Faktycznie, robił co mógł – zwłaszcza za granicą baru. Tak mijały lata, a Kornel egzystował w apartamencie na strzeżonym osiedlu w świecie, w którym jedynym obowiązkiem obywatelskim było uzupełnianie lodówki.

Ale nastąpiło nieszczęście. Mianowicie Kornel się zakochał. W Ukraince – zanim to jeszcze było modne. Nie byle jaka to była kobieta. Profesorówna, córka inteligenta o spojrzeniu jak z podręcznika do filozofii. Cztery języki, w zasadzie pięć, bo dwa w cyrylicy. Umiała powiedzieć „kocham cię" w trzech alfabetach i „potrzebuję nowego samochodu" w każdym z nich. Kornel był zachwycony. On, człowiek z hotelowych bankietów, wreszcie trafił na damę, która nie tylko znała różnicę między chardonnay a sauvignon blanc, ale potrafiła ją wymówić z akcentem kijowskim. Na świat przyszła trójka dzieci, zdrowych, głośnych i wielojęzycznych oraz spadek kursu życiowego Kornela.

Z początku trzymał fason: garnitur, karta kredytowa, sobotni brunch w hotelu, gdzie niegdyś bywał z panem z Ameryki. Świat miał jednak wobec Kornela plan, o którym go nie poinformowano. Pan Amerykanin przyjeżdżał coraz rzadziej, ciocia coraz mniej udzielała się towarzysko. Na szczęście karta płatnicza wciąż działała. Zawsze można było wyjąć z bankomatu na czynsz, sushi i pampersy.

Transakcja odrzucona

No i teraz nastąpił ten kłopot, który w życiu mężczyzny przychodzi zawsze znienacka – jak kontrola z urzędu skarbowego. Jego o 20 lat młodsza żona po latach intensywnego macierzyństwa i łagodnego znudzenia wreszcie znalazła sobie robotę. Korporacja, open space, kawa z ekspresu i angielskie słowa w mailach plus pakiet emancypacji.

Tam znalazł ją ktoś bardziej atrakcyjny od Kornela. Nie musiał się nawet starać. Wystarczyło, że miał wszystkie zęby, konto z wpływami i nie mylił Teamsa z TikTokiem. Kornel, jak to mężczyzna z epoki przedexcelowej, nie mógł tego znieść. Najpierw przyszła zazdrość, potem archetypiczny dramat współczesnych małżeństw: zagrożenie smartfonem. On sprawdzał, czy ona pisze z kimś o imieniu Igor; ona – czy on w ogóle jeszcze potrafi pisać.

I tak pewnego dnia Ukrainka z wielkim rozmachem wniosła pozew. Z winy – rzecz jasna – Kornela. Bo przecież to on był winien: że się starzeje, że nie rozumie, że oddycha nie tym rytmem co reszta nowoczesnego świata. A już najbardziej winien był temu, że jej nie wystarczał.

Zanim Kornel zdążył się połapać, że to nie kłótnia, tylko procedura, w skrzynce miał już pismo z sądu. I wtedy nastąpiło prawdziwe tąpnięcie. Kornel stanął przy bankomacie, włożył kartę, wklepał PIN i zobaczył na ekranie napis „Transakcja odrzucona." Maszyna nie wypluła ani pieniędzy, ani nadziei. Po raz pierwszy od wielu lat Kornel poczuł coś głęboko ludzkiego. Nie był to głód ani wstyd. To była panika.

Kiedy skończyły się pieniądze, a żona się wyprowadziła, Kornel został z tym, co najtrudniejsze do utrzymania – z samym sobą. Próbował się ratować. Robił to i owo, sprzedał, kupił, zamienił, stracił, zarobił, a potem znów stracił, żeby nie wyjść z wprawy. Zmieniał telefony, znajomych i branże. Od doradztwa po handel detaliczny. Ale jedyną rzeczą, która mu się naprawdę udała, była zmiana mieszkania na tańsze, czyli z widokiem na śmietnik po drugiej stronie ulicy. Z początku nawet się cieszył – bliżej do kontenera, dalej do ludzi.

Dłużnik bez wyroku

Z czasem czuł się słabiej. Spał gorzej, humor mu opadł, apetyt też. W końcu zrobił to, czego żaden rozsądny mężczyzna po pięćdziesiątce robić nie powinien: poszedł do lekarza. Ten obejrzał, osłuchał, pokiwał głową i wydał wyrok. To było to paskudztwo, co chodzi do tyłu. Nagle Kornel przypomniał sobie wszystkie dawne toasty z bankietów, gdy wznoszono kieliszki „za zdrowie". Teraz wiedział, że to był żart o wyjątkowo ponurym podtekście.

Został sam – bez żony, bez pieniędzy, bez ZUS-u. Ba, nawet ciocia o nim zapomniała. Ale nie z wady charakteru – po prostu z alzheimerem trudno pamiętać o wszystkim, zwłaszcza o rodzinie z dawnych czasów. Na domiar złego amerykański sponsor po prostu bezczelnie umarł. Bez konsultacji, bez uprzedzenia, bez podpisania pełnomocnictwa do dalszego finansowania. Jakby specjalnie czekał, aż Kornel zostanie sam, żeby odejść w najgorszym możliwym momencie. Klasyczne działanie wolnego rynku.

Kornel zatem zarejestrował się jako bezrobotny bez prawa do zasiłku, ale z prawem do bezpłatnej opieki zdrowotnej. To, jak się okazało, było strzałem w dziesiątkę. Nie dość, że państwo wzięło się za jego raka, to mógł zrezygnować z czynszu za mieszkanie, którego i tak nie był w stanie płacić, i zamieszkać oraz stołować się w szpitalach.

Sprawa rozwodowa szła źle. To znaczy normalnie. Żona, kobieta przebiegła jak prawniczka w promocji, zrobiła Kornela w konia z wdziękiem i znajomością procedur. Namówiła go, żeby zgodził się, by dzieci mieszkały przy niej.

– Przecież to tylko formalność – mówiła słodko. – Dla dobra dzieci.

A Kornel, naiwny jak człowiek, który jeszcze wierzy w dobro, podpisał. Nie wiedział, że w polskim prawie to „dobro dzieci" jest najkrótszą drogą do alimentów. Bo jak dzieci mieszkają „przy niej", to on mieszka „przy kosztach". Potem żona, nie czekając na wyrok, złożyła wniosek o zabezpieczenie powództwa, czyli o alimenty z góry, zanim jeszcze sąd zdążył rozważyć, czy Kornel w ogóle posiada jakiekolwiek dochody.

Że nie miał z czego płacić, trafił w końcu pod sąd karny – bo w tym kraju brak pieniędzy na alimenty to już nie problem społeczny, tylko przestępstwo.

Sąd wzywał go regularnie, a kiedy nie dochodził na rozprawy, dzwonił do niego w trakcie chemii.

– Panie Kornelu, czy pan wie, że pan nie płaci? – pytała urzędowa powaga.

– Wiem, ale w tej chwili próbuję przeżyć – odpowiadał Kornel.

– Niech pan nie ucieka w filozofię, tylko w przelew.

Jak Feniks z rosołu

Oczywiście nie jest tak, że wszystko idzie źle – byłoby to wbrew rachunkowi prawdopodobieństwa. Jakimś cudem przypomniała sobie o Kornelu przyjaciółka z dawnych świetlistych czasów: córka znanego reżysera z Suwałk, który, zdaje się, nawet dostał Oscara. Z zaleczonym rakiem podjęła się misji ratunkowej: wzięła Kornela pod dach, dokarmiała, dogrzewała i doprawiała życiem.

Kornel, wzmocniony rosołem i poczuciem, że jednak komuś nie jest obojętny, zatrudnił się w jednej z tych ubertaxicompany. Jeździł jak oszalały: we dnie, w nocy, w szczycie, po szczycie, a czasem i pod prąd, byle zdążyć z kursu na kurs. Niestety nie przewidział, że tak jak on nie śpi, tak i komornicy od alimentów nie drzemią. Po dwóch miesiącach okazało się, że „należy mu się" dokładnie tyle, ile „mu się zostało" po potrąceniach, czyli nic. I tyleż dostał.

Poszedł więc po rozum do głowy, a następnie do urzędu pracy, by odzyskać status bezrobotnego (który utracił, gdy podjął pracę, której efekt netto wyniósł zero). Tam dowiedział się jednak, że jego zatrudnienie trwało zbyt krótko, by mógł znów stać się bezrobotnym. Co gorsza, kolejna wizyta kontrolna w szpitalu nie okazała się zwykłą formalnością. Badanie PET wykazało, że coś znowu jest nie tak – a właściwie tak bardzo nie tak, że trzeba wznowić terapię.

No jak wznowić, to wznowić. Kornel, człowiek z zasadami, pojawił się punktualnie w rejestracji z kompletem dokumentów i nadzieją, że państwo nie zostawi pacjenta w połowie drogi. Za ladą siedziała rejestratorka. Spojrzała na monitor, potem na niego, a potem z powrotem na monitor.

– Pan nie jest ubezpieczony – oznajmiła tonem grabarza czytającego horoskop.

– Ale ja choruję na raka – powiedział Kornel z resztką godności, jaka zostaje po kilku chemiach i jednym rozwodzie.

– Tym bardziej nie jest pan ubezpieczony – odparła z urzędowym spokojem.

– Jak to „tym bardziej"?

– Bo jak ktoś chory, to już nie jest zdolny do pracy. A bez pracy nie ma składek. Proste.

– To co mam zrobić? – zapytał Kornel. – Chyba jest jakaś możliwość? Państwo wydało na moje leczenie ponad pół miliona złotych! (Kornel to policzył – z nudów i rozpaczy). Teraz mam zaprzepaścić całą terapię?

– No… może się pan leczyć komercyjnie.

– A ile to kosztuje? – spytał Kornel, z głosem człowieka, który już wie, że go nie stać.

– Doba w naszym „pensjonacie" to dwa tysiące plus zabiegi – odparła pani uprzejmie. – Ale za to bez kolejek.

– Czyli szybciej umrę? – upewnił się Kornel.

– Zdecydowanie – odparła z uśmiechem. – U nas procedury są błyskawiczne.

Kornel na pogrzebie nadziei

Ten brak ubezpieczenia, jak się w końcu okazało, nie był dziełem przypadku, tylko owa ubertaxicompany, w której Kornel przez dwa miesiące woził bliźnich, nie zgłosiła go do ZUS-u, choć miała na to siedem dni. ZUS, po wysłuchaniu jego tragedii, zachował stoicki spokój:

– Niech pan poda pracodawcę do sądu.

– Ale ja nie mam na adwokata – westchnął Kornel.

– To niech pan pójdzie do bezpłatnego. W urzędzie miasta.

W urzędzie przyjęto go serdecznie. Adwokat z programu „Pomoc prawna dla pozbawionych złudzeń" lub jakoś tak, wysłuchał go z ojcowską troską, od czasu do czasu kiwając głową jak lekarz, który wie, że pacjent i tak nie przeżyje. Westchnął i rzekł:

– Wie pan… moja koleżanka, lat 55, jak się dowiedziała, że ma nowotwór, to powiedziała, że leczyć się nie będzie.

– I co? – zapytał Kornel.

– W zeszłym tygodniu byłem na jej pogrzebie.

ROBERT JARUGA

PS Imię bohatera zostało zmienione. Resztę sobie wyguglujecie.

eprasa.pl a1d53bfa81

Za co walczą sportowcy?

Sportowe amatorstwo umarło, już go nie ma.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Baron Pierre de Coubertin, wskrzeszając ideę starożytnych igrzysk rozgrywanych co cztery lata w Olimpii, oparł koncepcję antycznego sportu na swojej wyobraźni – a nie na wiedzy. Do dziś nie wiemy wszystkiego, wiele szczegółów jest niejasnych. Czy greccy olimpijczycy byli czystymi amatorami, którzy za zwycięstwo otrzymywali tylko wieniec upleciony z gałązek drzewa oliwnego, rosnącego w świętym gaju Zeusa i olbrzymią sławę? Tego już się pewnie nie dowiemy. Francuski baron chciał widzieć świat idealny, ale świat idealny nigdy nie był.

Iwona Żółtowska z Instytutu Filologii Klasycznej UW opowiadała na antenie Polskiego Radia o olimpijskich oszustach. Czystości przestrzegania reguł sportowych w Olimpii pilnowali sędziowie. Gdy stwierdzili oszustwo – skazywali winowajcę na chłostę. W dodatku na koszt oszusta stawiano w specjalnej alei jego statuę, jako przestrogę dla potomnych. Była to więc swego rodzaju aleja hańby. Dziś podobną rolę spełniają media społecznościowe.

Za malucha

Oszustwo oszustwu nierówne. We wszystkich kronikach współczesnych igrzysk opisany jest przypadek Doranta Pietriego z 1908 r. Włoski maratończyk jako pierwszy zameldował się przed linią mety w Londynie, zanim jednak ją przekroczył, zaczął słabnąć. Podbiegło kilku kibiców (wśród nich ojciec Sherlocka Holmesa, Artur Conan Doyle) i trzymając Pietriego pod ręce, pomogło mu wykonać ostatnie kroki. Włocha uznano za oszusta, odebrano mu zwycięstwo. To już nie był antyk, nie wychłostano go, ale fotografia z końcówki olimpijskiego biegu obiegła świat, co w jakiś sposób zastąpić mogło pomnik hańby. Inna sprawa, że wiele osób – w tym Conan Doyle – uważało włoskiego maratończyka za bohatera, a królowa Aleksandra podarowała mu specjalny puchar.

Pietri stracił prawa amatora, przeszedł więc na zawodowstwo i startując w różnych biegach z cennymi nagrodami, dorobił się sporego majątku, który pozwolił mu na otwarie hotelu. Skądinąd później zbankrutował. Niektórzy nie mają szczęścia w życiu…

Nie odbiegajmy za daleko od tematu.

Na wręczanie nagród sportowcom amatorom coraz bardziej patrzono przez palce.

Już kilka razy pisałem, że rok życia spędziłem jako sprawozdawca 14 Wyścigów Pokoju, największej kolarskiej imprezy dla amatorów w Bloku Wschodnim, rywalizującej o popularność tylko z francuskim Tour de l'Avenir. Z opowieści starszych kolegów wiem, że kiedyś nagrodami w Wyścigu Pokoju były radioodbiorniki, pralki bębnowe, budziki i inne niezbędne sprzęty gospodarstwa domowego. Za moich czasów były to już nagrody pieniężne, a zwycięzca całej imprezy dostawał samochód osobowy; w Polsce był to Fiat 125p, w NRD – Wartburg, a w CSRS – Skoda.

Ponieważ kolarstwo jest sportem drużynowym, pieniądze wrzucano do wspólnego worka i rozdzielano między ekipę. Pojazd sprzedawano na pniu i wpływ z transakcji zasilał wspólną kasę. Były to zatem zasady identyczne jak te, które obowiązywały i obowiązują w zawodowych grupach. Różnica była tylko taka, że kolarze z Zachodu mieli podpisane profesjonalne kontrakty ze sponsorami, a amatorzy otrzymywali wypłaty ze swoich fikcyjnych zakładów pracy.

Pierwsze próby połączenia amatorstwa z zawodowstwem w kolarstwie podjął nieżyjący już prezes PZKol i wiceprezes UCI Włodzimierz Gołębiewski. Uzyskał zgodę na start reprezentacji Polski w zawodowym wyścigu Paryż–Nicea. Polacy, z Ryszardem Szurkowskim na czele, dostali tam baty i prób nie ponawiano.

Właśnie kolarstwo jako pierwsze zerwało z fikcją amatorstwa i zawodowstwa. Wprowadzono zamiast amatorów kategorię młodzieżowców (U23) i dla nich przeprowadza się osobne mistrzostwa. Młodzieżowca nikt nie pyta, czy ma już podpisany profesjonalny kontrakt, czy dopiero się o niego stara. Inna sprawa, że wiek sportowców stale się obniża (coraz wcześniej zaczynają treningi), nie można wykluczyć, że młodzieżowcy w przyszłości zostaną jeszcze bardziej odmłodzeni.

Za diety

Jeśli chodzi o walkę z fikcją amatorstwa, na czoło wysunęła się Międzynarodowa Federacja Lekkiej Atletyki, niegdyś najbardziej konserwatywna organizacja.

Wiele miast organizuje mityngi. Wszyscy chcą gościć na nich najjaśniejsze gwiazdy. Pojawił się jednak problem: miasta nie mogły oficjalnie płacić sportowcom za udział, bo to pozbawiłoby ich statusu amatorów, a to z kolei – uniemożliwiło im startowanie w igrzyskach olimpijskich. Sprawę załatwiano w ten sposób, że lekkoatleci otrzymywali zwrot kosztów podróży i dietę. Oba te składniki rosły i rosły – a ponieważ działo się to w czasach, gdy u nas komuna była w rozkwicie, a czarnorynkowy kurs dewiz szalał, poznałem zawodniczki i zawodników, którzy dzięki dietom i delegacjom żyli w peerelowskich luksusie. Teraz mamy już system mityngów (zwłaszcza Diamentowa Liga), w których płaci się krocie nie tylko za udział, ale za wyniki, rekordy itp. Międzynarodowa federacja, jako pierwsza, oficjalnie płaci też za medale olimpijskie.

Do czasu zmiany ustroju sport zawodowy postrzegany był w Polsce jako przejaw degeneracji Zachodu, na równi z pederastią, biciem Murzynów w Ameryce i wysyłaniem samolotów szpiegowskich nad terytorium Układu Warszawskiego. Dziennikarstwo sportowe cieszyło się pewną swobodą (w końcu mecz mógł być wygrany, przegrany albo zremisowany i żaden cenzor tego nie zmienił), ale tacy do końca swobodni nie byliśmy. O sporcie zawodowym wolno nam było pisać niewiele, tyle, ile było niezbędne, np. podawać informacje o Tour de France, Giro d'Italia i Vuelta a España – ale bez komentarzy.

Gdy przed Czesławem Langiem otworzyła się możliwość przejścia na zawodowstwo, wraz z moim mentorem Lechem Cergowskim z „Przeglądu Sportowego" przekonywaliśmy na łamach, że to wielka szansa dla polskiego sportu. Udało się. Lang, mimo iż formalnie był chorążym Wojska Polskiego – a wszystko odbywało się w czasie stanu wojennego – zaczął profesjonalną karierę we Włoszech. Nie chcę sobie przypisywać dużych zasług, ale pracowałem wówczas w dziale sportowym „Trybuny Ludu", organu Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, więc dla kogoś mogło nie być jasne, czy to był mój głos, czy głos partii.

Opierdol dostałem straszny. A oprócz tego zakaz pisania o kolarstwie zawodowym, choćby w tak ograniczonym wymiarze jak wcześniej. Spłynęło to po mnie jak po ptaku wodnym, byłem pewien moich racji, a o zakazie wszyscy zapomnieli po tygodniu. I oto Lang świetnie spisał się w zawodowym peletonie, ściągnął do niego innych Polaków, z mistrzem świata (jeszcze wówczas) amatorów Leszkiem Piaseckim na czele, a po zakończeniu kariery zabrał się za organizowanie Tour de Pologne.

Za etat

W PRL nie było sportu zawodowego – oczywiście tylko teoretycznie. Oficjalnie profesjonaliści występowali tylko w dwóch dyscyplinach: w żużlu i w wyścigach konnych. Żużlowcy dostawali pieniądze za każdy zdobyty punkt. Dżokeje – bez obaw, że posądzeni zostaną o wyklęty sportowy profesjonalizm – ustawiali się do kasy. Cała reszta była amatorami. Mieliśmy więc piłkarzy górników, bokserów milicjantów, kolarzy tramwajarzy, koszykarzy wojskowych i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście żaden z nich nie przepracował w deklarowanym zawodzie nawet godziny.

Ponieważ jedna pensja mogła okazać się niewystarczająca, sportowcy zatrudniani bywali na kilku etatach. Gdyby dokładnie policzyć (nikt nie liczył) czas pracy, nie wystarczyłoby im doby, żeby wyrobić wszystkie godziny – a przecież trzeba choć kilka godzin wykroić jeszcze na sen. Nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy wiedzieli, że nasz sport amatorski to jedna wielka lipa. Podobnie działo się w innych demoludach.

Działacze z krajów zachodnich widzieli tę lipę i zareagowali na nią we właściwy sposób: zaczęli swoich sportowców amatorów zatrudniać na lewych etatach. O ile pamiętam, największym powodzeniem wśród zachodnich zawodniczek i zawodników cieszyły się zawody policjantów i żołnierzy. Szanse się wyrównały.

W latach 80. minionego wieku sportowcy mogli już brać kasę oficjalnie i nikt ich za to nie dyskwalifikował z igrzysk olimpijskich. Wcześniej bywało różnie. Bodaj najgłośniejszy był przypadek amerykańskiego dwukrotnego złotego medalisty w wielobojach podczas igrzysk w 1912 r. Jim Thorpe pochodził z indiańskiego terytorium i naprawdę nosił nazwisko Wa-To-Huk. Po igrzyskach wyszło na jaw, że zagrał w jakiejś półamatorskiej drużynie baseballowej i wziął za to drobną kwotę. Na wniosek amerykańskiej federacji lekkoatletycznej odebrano mu złote medale. W 1982 r. MKOl zrehabilitował sportowca, ale była to rehabilitacja pośmiertna, o cztery lata spóźniona, by mógł się z niej cieszyć.

Nie wszyscy wiedzą, że i my mieliśmy znamienny incydent. Leszek Drogosz oficjalnie zatrudniony był w zakładach metalowych SHL Kielce, ale zajmował się trenowaniem boksu i startami w zawodach, które dały mu brązowy medal olimpijski i trzykrotne mistrzostwo Europy. Na fikcyjne zatrudnienie nikt nie zwracał uwagi. Na swoje nieszczęście w 1966 r. zagrał – zresztą świetnie – w filmie „Bokser" i otrzymał za to honorarium. A to już stało w sprzeczności z ówczesnymi przepisami i „Czarodziejowi Ringu" odebrano status amatora.

Dziś już na całym świecie nie ma sportowca na jako takim poziomie, który wylewałby pot na treningu za friko. Jeśli nie dostaje pieniędzy od państwa, za pośrednictwem związku sportowego, to płacą mu sponsorzy. Zresztą, przy obecnych wymaganiach godzenie trenowania i pełnoetatowej pracy zarobkowej stało się praktycznie niemożliwe. Przypomnijmy sobie, jaką sensację wzbudzają piłkarze z Wysp Owczych, którzy są półamatorami. Wygląda to tak, że przez pół roku – kiedy pogoda uniemożliwia treningi – normalnie pracują, a drugie pół roku spędzają już tylko na boisku.

Za żyletki

Pozwólcie, że zostanę jeszcze przy latach mojej młodości w dziennikarstwie sportowym. Lewe etaty nie były jedynym źródłem utrzymania zawodników w PRL. Dużą rolę odgrywał handel zagraniczny, czyli mówiąc wprost – przemyt towarów chętnie kupowanych za granicą. Wywożono głównie krośnieńskie kryształy i sprzęt sportowy, choć w Związku Radzieckim kupowano od Polaków praktycznie wszystko. Pamiętam, jak na Dworcu Warszawa Gdańska

rozmawiałem z naszymi sztangistami wyjeżdżającymi do ZSRR. Rozeszła się wieść, że najlepsze przebicie jest na produkowanych na zachodniej licencji żyletkach Polsilver. Zawodnicy naładowali ich do toreb i waliz tyle, że nie byli w stanie ich unieść, a byli to – przypomnę – sztangiści.

Istniało coś w rodzaju cichej umowy między sportowcami a celnikami: że tych podróżnych się nie tyka, a w zamian można dostać jakieś pamiątki, w rodzaju proporczyków i znaczków.

W roku 1971 zawodnicy Legii przegięli. Handlowali złotem. Na to władza ludowa nie mogła już przymykać oczu i kilku zawodników o bardzo znanych nazwiskach trafiło do więzienia. Starsi kibice pamiętają, o kogo chodziło, młodszym nie będę przypominać, bo po co? Sprawa jest już dawno przebrzmiała.

Sportowe amatorstwo umarło – ale oto odradza się na nowo. W wielu krajach przeprowadza się zawody dla amatorów w najróżniejszych dyscyplinach i w najróżniejszych kategoriach wiekowych (tzw. Masters). Mamy więc amatorskie biegi uliczne i terenowe, turnieje tenisowe, wyścigi kolarskie, nawet walki pięściarskie. Ponieważ sport nie znosi próżni, pojawiają się te same bolączki, które trapią całą dziedzinę. Nie przeprowadza się kontroli antydopingowych, a pokusa, żeby okazać się lepszym od innych, jest mocna.

Swego czasu niespodziewanie przed startem kolarskiego wyścigu dla amatorów pojawili się wysłannicy agencji antydopingowej wyposażeni w probówki do pobierania moczu. Natychmiast część uczestników spakowała rowery na bagażniki na dachach swoich samochodów i szybko odjechała.

No i co zrobić z takimi? Chłostać?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 26.11.2025 r.

eprasa.pl a1d53bfa81

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Grzegorz Braun był człowiekiem skromnym, dlatego nie siedział na tronie cesarza Konfederacji Korony Polskiej, lecz na zwykłym krześle.

– Będę tak siedział, aż przybędzie, ukląknie, ukorzy się i poprosi o łaskę – mówił, głęboko modulując doskonale ustawiony głos.

– Brawo, brawo! – zawołał z niemieckim akcentem poseł Roman Fritz.

– Dlaczego wołasz z niemieckim akcentem? – zapytał Braun, cmokając.

– A dlaczego wasza cesarska mość cmoka z akcentem starozakonnym? – skrzywił się ultra po polsku poseł Włodzimierz Skalik, szara eminencja KKP.

– Ha! – rozłożył ręce Braun.

– Ha! – zaśmiał się Fritz.

Na tym dostojnicy KKP zakończyli wątek narodowościowy. Pozostał wątek główny.

– Dlaczego wasza miłość uważa, że Kaczyński przybędzie wkrótce? – zapytał Fritz.

– To, że on przybędzie, ukląknie i ukorzy się, nie oznacza, że uczyni to osobiście. Przecież może kogoś przysłać – bezbłędnie logicznie odpowiedział Braun, podkręcił wąsa, a następnie pogładził się po brodzie.

– Kogoś w typie Błaszczaka? – tym razem zainteresował się Skalik.

Braun uznał, że oczywista odpowiedź na to pytanie godzi w jego cesarską dumę i powagę władcy.

– A jeżeli się przestraszy? – wypytywał Fritz, uważając na to, żeby głoski szczelinowe brzmiały czysto po polsku.

– Ma większe powody do strachu – diabolicznie zaśmiał się Braun. – Takie powody jak choćby lecące na łeb na szyję notowania jego pożal się Boże partii. Jeśli popularność Prawa i Sprawiedliwości będzie spadać w takim tempie, to już niedługo nie będzie czego zbierać z podłogi.

– Dobrze powiedziane – pochwalił Skalik, a Fritz ucieszył się, że może przebywać w towarzystwie takich mędrców jak ci dwaj.

– Żydokomuna trzyma się mocno – rzekł, trochę żeby coś powiedzieć, a trochę dlatego, że żydokomuna zawsze trzyma się mocno.

Braun łypnął na Fritza jednym okiem, drugie bowiem miał zakryte przysłoniętym szkłem okularów.

– Żydokomuna trzyma się mocno, ale jej moc nie została wykuta w kamieniu – dodał Skalik, poniewczasie gryząc się w język, ponieważ zapomniał o Mojżeszu.

Fritz chciał coś powiedzieć albo przynajmniej westchnąć znacząco, lecz nie zdążył, w drzwiach bowiem pojawił się poseł Przemysław Czarnek.

– Czy mogę poprosić waszą cesarską mość o posłuchanie? – zapytał bezbłędną polszczyzną pochodzącą z okolic Koła w Wielkopolsce.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA czyta manuskrypt książki **JOANNY SENYSZYN** i się mądrzy. Joanna znosi to z wyrozumiałością.

Wołk-Łaniewska: – Brakuje mi polityki i miłości.

Senyszyn: – W życiu?

– Nie, w twojej książce.

– Polityki – rozumiem, polityki ci nigdy dość. Ale miłości?!

– A żebyś wiedziała. Bolo się niejako na marginesie pojawia, jako przechodzień. A gdzie romantyczne kolacje przy świecach, bose spacery po plaży w świetle księżyca? A ty tylko o psiej budzie pod schodami…

– Chyba przesadzasz.

– No, przesadzam. Ale serio: jakoś strasznie mało jest was razem.

– Bo my nie za wiele czasu spędzaliśmy razem. Każde miało swoją pracę, którą kochało. Jeszcze na początku małżeństwa, kiedy Bolo był radcą prawnym w trzech firmach, wracał zazwyczaj już o godzinie 14.00, szliśmy gdzieś na obiad, potem na spacer albo do kina, a dokładnie na 19.00 – bo wtedy zamykano sklepy – jechaliśmy do Gdyni, żeby odebrać z wypożyczalni sukien mojej mamy sukienki i je uprać. To było nasze bojowe zadanie. Pewnie już przeczytałaś w mojej książce, w jakim niewiarygodnym stanie ubrudzenia wracały. Jak tylko kończyliśmy skomplikowane pranie, wracaliśmy do domu, do Gdańska, a potem – jak zamieniliśmy nasze dwa mieszkania na jedno – do Sopotu. Był jeszcze czas i na rozmowy, i na seks. Tym bardziej że do pracy nie chodziliśmy skoro świt, co dla nocnych marków jest bardzo ważne. Od rana każde z nas miało znowu swoje życie. Dla każdego inne, bo zgodne z oczekiwaniami.

– Może to jest recepta na szczęśliwe małżeństwo?

– W pewnej mierze na pewno. Ale jest jeszcze dużo innych warunków do spełnienia. Przede wszystkim niezależność finansowa małżonków. Przecież przemoc występuje tylko wtedy, gdy jedna ze stron może sobie na to pozwolić, bo utrzymuje rodzinę jako jeden jej żywiciel. Wszak ten sam facet, który przyleje żonie, „bo zupa były za słona", bez szemrania je przesoloną w zakładowej stołówce, a do swojego szefa nie podskoczy. Oczywiście ogólnie warto się kierować zasadą, którą przyjęliśmy w dniu ślubu: że w ważnych sprawach decyzje będzie podejmował on, a w nieważnych ja. Jak już pewnie wiecie, w naszym trwającym prawie 50 lat małżeństwie ważnych spraw nie było, czego wszystkim życzę.

– Wygląda na to, że poglądy mieliście wspólne. Szczególnie mnie uderzyła opowieść o tym, jak natychmiast zrodziło się między wami uczucie, bo on wydał wyrok śmierci, a ty go broniłaś na imprezie przed przyjaciółmi, którzy mieli mu to za złe.

– To był czas, kiedy, jak większość polskiego społeczeństwa, nie byłam jeszcze przeciw karze śmierci. Ale to się zmieniło. Nie tylko dlatego, że wstąpiliśmy do Unii Europejskiej, która karę śmierci wyklucza. Przez wiele lat prowadziłam badania wśród moich studentów. Zadawałam im trzy pytania. Czy jesteś zwolennikiem kary śmierci? Trzydzieści lat temu większość odpowiadała „tak". A czy wydałbyś taki wyrok? Tutaj odpowiedzi pozytywnych była mniej niż połowa. I wreszcie: czy wykonałbyś osobiście taki wyrok? I tu deklarowało się nie więcej niż 5 proc.

– Ale te pięć by wykonało z entuzjazmem.

– Może tak, może nie. Przynajmniej nie byli hipokrytami. Reszta entuzjastów kary śmierci chciałaby ją wykonywać, ale cudzymi rękami. Z rozmów z Bolem wiedziałam, jak wielkie obciążenie psychiczne niosą takie wyroki dla sędziów. Uznałam, że prawo nie powinno zmuszać ludzi do takich decyzji, nawet jeśli utrzymywanie zbrodniarza przez wiele lat jest dyskusyjne.

– No właśnie nie.

– Co: nie?

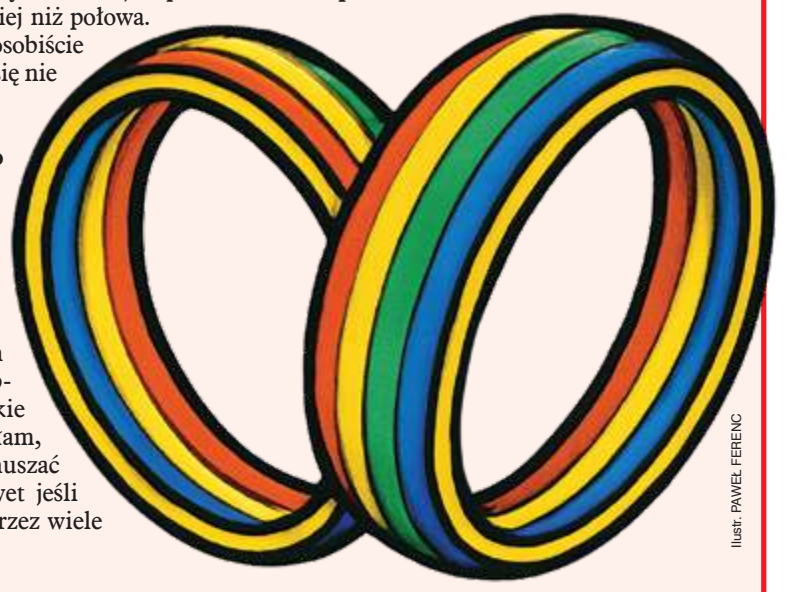
– Nie jest dyskusyjne. Państwo przyznaje sobie prawo do pozbawienia człowieka wolności i w związku z tym ponosi za niego odpowiedzialność. Tyle.

– No dobrze, ale jeśli 400 tys. dzieci w Polsce głoduje, a tymczasem państwo musi utrzymywać przestępcę przez wiele lat i w dodatku spełniać humanitarne normy: odżywiać, zapewnić telewizję i opiekę medyczną…

– Myślałby kto, że ty się tak strasznie dziećmi przejmujesz…

– Przejmuję się tym, co jest bardziej korzystne dla społeczeństwa. Zmieniając temat: jak ci się podoba fakt, że wybrany przez „stronę demokratyczną" marszałek sejmu w swoim pierwszym kroku wszedł w buty PiS i ogłosił, że nie będzie dopuszczał do procedowania opozycyjnych, w tym prezydenckich projektów ustaw? Żeby sobie dodać prestiżu, chamską zamrażarkę nazywa „marszałkowskim wetem". A ostrzegałam, że to facet, który rozumie tylko brutalną siłę, a na demokrację ma uczulenie. Będzie ślepo wykonywał polecenia Tuska i rekompensował to sobie podłością wobec podwładnych.

– Myślę sobie, że Włodzio po prostu zazdrości Karolowi. Może też chciał być prezydentem? Prezydent ma veto, to Włodzio też będzie miał veto… „Ziemia obiecana" mi się przypomniała: „Wszyscy stawiają pałace, i ja kazałem postawić, mają salony, i ja mam salony, mają powozy i konie, i ja mam powozy i konie. Kosztuje drogo, niech kosztuje i niech sobie stoi, niech ludzie wiedzą, że Muller może mieć pałace"… To teraz ja zmieniam temat: o wyroku TSUE chciałam porozmawiać.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– To na początek wyjaśnimy, bo może ktoś nie słyszał: Trybunał w Strasburgu zobowiązał Polskę do tzw. transkrypcji małżeństw jednopłciowych zawieranych w innych krajach UE. Czyli do wpisywania ich do papierów i uznawania osób z takim ślubem za legalnie poślubione, ze wszystkimi tego konsekwencjami prawnymi.

– Najbardziej mnie raduje myśl o różnych urzędolach – bigotach, co teraz będą musieli formalnie przyjąć do wiadomości, że chłop może mieć męża, a baba żonę. Trzymam kciuki, żeby się znalazła jakaś polska Kim Davis.

– Chyba musisz opowiedzieć, kim jest Kim Davis.

– To taka amerykańska przegrywa.

– Doceniam użycie feminatywy…

– Specjalnie dla ciebie. Generalnie dopiero się przymierzam do słowa „przegryw", bo z jednej strony jest kalką z amerykańskiego – czego nie znoszę, zwłaszcza jeśli chodzi o „dowożenie" – ale z drugiej jest użyteczne i nie ma polskiego odpowiednika. A tak na marginesie: uważasz, że „feminatywy" są rodzaju żeńskiego? Ta feminatywa, nie ten feminatyw?

– Ależ oczywiście.

– Okej, na to nie wpadłam. Wracając do tematu: Kim Davis to była urzędniczka stanu cywilnego hrabstwa Rowan, a stała się słynna po tym, jak powołując się na autorytet bozi, odmówiła Davidowi Ermoldowi i Davidowi Moore'owi ślubu cywilnego – chwilę po tym, jak Sąd Najwyższy USA zagwarantował im to prawo.

– W sprawie Obergefell vs Hodges.

– Sąd wezwał Kim do wykonania jej obowiązku, a kiedy odmówiła, wsadził ją za obrazę. Na pięć dni, ale dzięki temu została męczennicą za wiarę. A potem przegrała proces z Davidami i sąd kazał jej zapłacić im 100 tys. dolków odszkodowania oraz 260 tys. kosztów adwokackich. Baba się odwoływała i odwoływała, aż się dowołała do Sądu Najwyższego…

– Tego, który po Trumpowych nominacjach, zmienił rozstrzygnięcie w sprawie Roe vs Wade, czyli obalił prawo do aborcji w USA.

– W końcu właśnie w takim celu Trump dopakował sąd religianckim betonem na czele z Amy Coney Barrett, która głosi, że jej kariera prawnicza to narzędzie do realizacji celu, jakim jest służba bogu.

– Jakiemu bogu?

– Katolickiemu, a jakże. No i Kim Davis poszła do tego sądu, żeby odszczekał Obergefella, a sąd jej pokazał fucka. Alleluja!

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl a1d53bfa81